George O. Smith

Wichrzyciele

(The Troublemakers)

Galaxy Magazine, April 1960
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

I

Salon był przejawem bogactwa, pozycji i dobrego smaku. Jego rozmiary wynosiły pełne dziesięć na czternaście stóp, przy niemal ośmiostopowej wysokości. Światła dostarczały panele oświetleniowe, precyzyjnie dobrane pod kątem koloru, aby dawać najbardziej korzystną barwę dla kobiety siedzącej na delikatnym krześle z autentycznego, zdobionego złotymi żyłkami czarnodrzewu.

Już sam przewóz krzesła z Tau Ceti Pięć musiał kosztować fortunę. Było ono czystą ostentacją w oczach gościa, który widział w nim dowód pobłażania sobie i sybarytyzmu, co z pewnością jeszcze bardziej utrudni jego zadanie.

Powietrze w pokoju było świeże i delikatnie aromatyczne, ujmująco. Nawiewane bez śladu podmuchu, miało temperaturę siedemdziesięciu sześciu stopni[1], pięćdziesięcioprocentową wilgotność względną i dozwolony maksymalny udział nie więcej niż jednej cząsteczki obcej (kurzu) na stopę sześcienną.

Stolik stanowił kolejny ostentacyjny element, ale z odmiennego powodu niż importowane krzesło z czarnodrzewu. Stolik był z mahoniu – z ziemskiego mahoniu – a więc musiał być albo antykiem albo pamiątką rodzinną, ewentualnie jednym i drugim. W każdym bądź razie, był bezcenny. Gość odczuwał swego rodzaju przewrotną przyjemność, siedząc tak sobie przy nim z mikroskopem porównawczym ustawionym na wypolerowanym mahoniowym blacie, ze swobodą kogoś kto zawsze stawiał swe narzędzia na stołach i stojakach z drogocennego drewna.

W pokoju były cztery osoby. Paul Hanford obracał swoją brandy w kieliszku, serią nerwowych ruchów. Pani Hanford przysiadła na krzesełku z czarnodrzewu, wyglądając niespecjalnie, pomimo odpowiedniego światła naściennych paneli. Ich córka, Gloria, siedziała w taki sposób, jakby chciała jak najbardziej rozproszyć gościa, poprzez zaprezentowanie celu, którego jego oczy nie były w stanie uniknąć. Pomimo tego, że próbował, jego spojrzenie nieustannie zbaczało na smukłą, odsłoniętą, gołą kostkę i delikatną, wysoko wysklepioną stopę, widoczną pod rąbkiem sukni dziewczyny.

Gościem był Norman Ross, GSp, który właśnie po raz dziesiąty zmył sobie w myślach głowę i oderwał wzrok od kostki Glorii Hanford, aby spojrzeć w twarz Paulowi Hanfordowi. Ross był Specjalistą ds. Genetyki z miejscowego oddziału Departamentu Spokoju Domowego i powinien być odporny na takie rzeczy, ale najwyraźniej nie był.

Powiedział:

[1] Stopnie Fahrenheita. Około 24°C (przyp. tlum.)

— Nie może pan siebie winić, przecież pan wie — chociaż jakoś sam w to tak naprawdę nie mógł uwierzyć.

— Ale co zrobiliśmy nie tak? — spytała pani Hanford pełnym żałości głosem.

Specjalista Ross pokręcił głową i powstrzymał swe spojrzenie w pół drogi, zanim powróciło ono do tej ponętnej kostki.

— Genetyka, droga pani Hanford, jest nauką statystyczną, a nie ścisłą. — Machnął ręką mniej więcej w stronę mikroskopu. — Oto są państwa gwarancje na siedem pokoleń. Nikt – powtarzam – nikt nie mógł przewidzieć kwestii powstania upartego potomstwa o trudnym charakterze, ze skrzyżowania charakterystyk takich jak te. Sprawdziłem jak najdokładniej, jak najbardziej szczegółowo, tak żeby być tego absolutnie pewnym, czy jakiś ukryty ale istotny konflikt nie został przeoczony przez lekarzy, którzy je podpisali. Lekarze, jednak, czasami popełniają pomyłki.

Gloria Hanford prowokacyjnie opuściła i uniosła łydkę, powodując że brzeg jej sukni uniósł się jeszcze o pół cala. Wzrok naukowca pobiegł w to miejsce, zatrzymał się i ponownie uciekł gdzieś w inną stronę.

— Czy coś jest ze mną nie tak, Specjalisto Ross? — spytała gardłowym tonem.

— Jest pani uparta, samowolna, gwałtowna i… — głos na chwilę odmówił mu posłuszeństwa, ponieważ miał ochotę spuścić jej lanie za bezwstydne i celowe pokazywanie gołej kostki; z wysiłkiem szukał w głowie kulturalnego słowa, które nie obraziłoby do końca jej nieszczęśliwych rodziców, i w końcu je znalazł — …niemoralna.

Gloria odparła:

— I to wszystko tylko dlatego, że szukałam odrobiny rozrywki?

— Pani może i nazwie rozrywką, straszenie ludzi na śmierć latając samochodem powietrznym po ulicach miasta, poniżej poziomu dachów, ale Departament Ruchu Powietrznego twierdzi, że to zarówno niebezpieczne, jak i nielegalne.

— Pchi!

Paul Hanford oznajmił:

— Gloria, nie jest tak, że zawsze to ty wiesz wszystko najlepiej.

Pani Hanford lamentowała:

— Paul, jak mogliśmy tak zawieść, jako rodzice?

Specjalista Ross pokręcił głową.

— Państwo nie zawiedli. Nic państwo na to nie poradzą, że wasza córka jest atawizmem…

— Atawizm! — wykrzyknęła Gloria.

— …z wcześniejszych, bardziej gwałtownych epok, kiedy niekontrolowane przez nikogo grupy młodzieży tworzyły gangi Nowego Jorku i prowadziły między sobą otwartą wojnę o kontrolę nad Tammany Hall. Te dzikie czasy były wynikiem nierejestrowanego, nieograniczonego i niekontrolowanego rozmnażania. Ponieważ nie czyniono żadnych prób

zapobieżenia, aby nieodpowiedni ludzie krzyżowali się z innymi nieodpowiednimi, stąd tak wiele pokoleń kompletnych dzikusów – wichrzycieli. Nie może więc być zaskoczeniem, że przy takim dziedzictwie ludzkości, od czasu do czas również i dzisiaj rodzi się taki dzikus.

Naukowiec rzucił kolejne potajemne (jak miał nadzieję) spojrzenie na gołą kostkę i dodał:

— Nie, państwo nie ponoszą żadnej bezpośredniej winy. Wiemy, że nie poczęliby państwo wichrzyciela w sposób celowy i złośliwy. To po prostu nieszczęśliwy wypadek. Nie ma co rozpamiętywać przeszłości – ale musicie dołożyć wszelkich wysiłków i starań, żeby zaradzić kłopotom w przyszłości.

— Co mamy robić, Specjalisto Ross? — spytał Paul Hanford.

— Musimy sobie szczerze porozmawiać. Może lepiej by było, gdyby panie wyszły.

— Nie odejdę — oznajmiła stanowczo pani Hanford.

Zaś Gloria dodała:

— Nie mam zamiaru pozwolić na jakieś rozmowy o mnie, za moimi plecami!

— Bardzo dobrze. Jako Specjalista ds. Genetyki jestem kierownikiem miejscowego oddziału Departamentu Spokoju Domowego. Wolałbym raczej utrzymać w swoim dystrykcie spokój i ład, bez zawracania głowy władzom karnym, i jestem pewien, że państwo również preferowaliby takie rozwiązanie.

— Absolutnie! — zgodził się Paul Hanford.

— A więc — kontynuował Specjalista Ross, — co do bezpośredniego problemu, przepiszemy pięćdziesiąt miligramów dociliny, jedną tabletkę każdego wieczora przed snem. To wprawi umysł naszej młodej damy w stan otwarty na sugestie łagodniejszego postępowania. Zaraz jak tylko będzie to możliwe, pan Hanford zasubskrybuje Music To Live By i każe im odtwarzać co noc Program G-252, rozpoczynając zaraz po kolacji i kończąc tuż po śniadaniu. To znaczy chodzi mi, oczywiście, o czas kolacji i śniadania państwa córki, zaś jego odtwarzanie powinno mieć miejsce w jej sypialni. Nie jest niezbędne, aby panienka słuchała materiału programu przez cały czas z uwagą, ale musi on odpowiednio pokierować jej nastrojami. I w końcu, po obudzeniu dwudziestopięciomiligramowa tabletka nitrolabu, obniży ona zdolności odczuwania przez pacjenta, podekscytowania w czasie dnia.

Przerwał na chwilę namysłu i dodał jeszcze, jakby rozmawiali na osobności:

— Nie chciałbym pójść na tyle dalece, żeby zasugerować państwu – jej rodzicom – abyście w sposób świadomy unikali słuchania odcinków Programu G-252, ale definitywnie ostrzegam państwa przed popadnięciem w nawyk stałego słuchania go.

Z zamyśleniem popatrzył w sufit, a potem zajrzał do swego notatnika.

— Pomyślałem sobie, że dam państwu również receptę na Program X-870, którego mogą państwo używać lub nie, zgodnie z własnym życzeniem. Proszę go odtwarzać w swojej sypialni, pani Hanford, i spróbować ustalić tu jakąś rozsądną równowagę. Powiedzmy nie więcej niż dwa jego odcinki na jeden z innych programów. A jeśli pan, panie Hanford, usłyszy jakikolwiek fragment programu swojej córki, to także proszę przeciwdziałać jego efektom, wysłuchując fragmentu równej długości z programu dla pani Hanford.

Odwrócił się z powrotem w stronę Glorii i pokręcił głową.

Uśmiechnęła się do niego szelmowsko i spytała:

— A teraz, co jest nie tak?

— Pani — wyznał jej otwarcie. — Jeśli ten występek nie był chwilowym zaburzeniem umysłowym, będę musiał przepisać pani dziesięciomiligramową dawkę mikrograiny, do przyjmowania przy każdym przyśpieszeniu pulsu poprzedzającym ekscytację. Tylko że nie wydaje mi się, aby pani naprawdę żałowała swojego szalonego zachowania, nieprawdaż, panno Hanford?

Pokręciła przecząco głową.

— Nie, i nie potrafię się cieszyć z tego całego programu, który pan mi narzucił.

— Nie za bardzo mogę oczekiwać aprobaty dla programu, który jest obliczony na całkowitą zmianę czyjejś osobowości i charakteru — zauważył Specjalista Ross. — Ale odrobina zdrowej logiki powinna panią przekonać, że to jest najlepsze wyjście. Panno Hanford, pani po prostu musi się dostosować.

— Dlaczego? — zaczęła się dopytywać.

— Żyjemy w wolnym kraju, panno Hanford, ale wolność ta musi być ograniczana przez naszą odpowiedzialność w stosunku do innych współobywateli. Gęstość zaludnienia na Ziemi jest zbyt wysoka, aby pozwolić na awanturnicze zachowania. Prawa nie służą wyłącznie ograniczaniu wolności człowieka. Są one nakładane, aby chronić niewinne osoby trzecie – które zajęte są swymi własnymi sprawami – przed niezdyscyplinowanymi, upartymi osobnikami, którzy nie widzą niczego złego w wyrzucaniu pustych butelek po piwie przez okna mieszkań, i usprawiedliwiają takie zachowanie, twierdzeniem że pójście do zsypu na śmieci wymagałoby stujardowego spaceru po korytarzu. W sytuacji gdy żyjemy tak blisko jeden drugiego, że nikt nie może użyć w gniewie podniesionego głosu, żeby nie przeszkadzało to jego sąsiadowi, musimy mieć możliwość nakładania praw zapobiegających takim wybuchom temperamentu. To działa w obie strony, panno Hanford. Wymagając od ludzi, żeby się poprawnie zachowywali, w efekcie osiągamy taki poziom kultury społecznej, przy którym nikt nie zachowuje się tak, by doprowadzić swego sąsiada do aktów przemocy wywołanych gniewem. Czy jasno to wyraziłem?

— Innymi słowy — ironizowała Gloria, — jeśli coś jest zabawne, to szybciutko trzeba wprowadzić prawo, które tego zakazuje!

— No cóż, tak bym tego nie określił… — zaczął naukowiec.

— Proszę mi powiedzieć — przerwała mu. — Jak długo mam być na tej diecie z pigułek i kołysanek?

— To może potrwać bardzo długo. W poważniejszych przypadkach, nawet przez całą resztę życia pacjenta. Z drugiej strony, mamy całkiem sporo wskazówek, że pani zamiłowanie do efektownych przeżyć, może słabnąć wraz z dojrzałością. Och, wcale nie proponujemy, aby uczynić z pani pariasa. Małżeństwo i macierzyństwo mają również stabilizujące efekty.

— Moje maleństwo…! — załkała pani Hanford.

— Twoje maleństwo — skomentował Paul Hanford bardzo kwaśnym głosem, — ma już licencjat i skończyło dwadzieścia lat.

— Nikt nie pyta o zdanie, mnie — skarżyła się Gloria, kołysząc nogą i unosząc rąbek swej sukni o kolejne pół cala ponad smukłą kostkę.

— I nikt nie będzie. Jednak, panno Hanford, umieszczę pani kartę w teczce „do wzięcia" i każę sprawdzić pani charakterystyki. Jestem pewien, że znajdziemy mężczyznę, który będzie dla pani możliwy do zaakceptowania – jak również dla Departamentu Spokoju Domowego.

— Pfff.

— Może pani sobie szydzić do woli, panno Hanford, ale małżeństwo i macierzyństwo uspokoiło w przeszłości już całe mnóstwo niespokojnych głów.

II

Młodszy astronauta Howard Reed energicznie i żwawo wszedł do biura komendanta. Jego salut był równie dziarski, jak sposób zameldowania się.

Komandor Breckenridge z kamienną twarzą uniósł wzrok na młodszego astronautę, a potem opuścił go z powrotem na stos papierów schludnie ułożonych na środku jego biurka. Nie odzywając się ani słowem komandor przeglądał kolejne z nich, aż w końcu doszedł do cienkiego pliku dokumentów, zszytych razem. Wyciągnięte papiery umieścił na wierzchołku stosu, a potem przeszedł do czytania każdego słowa na każdej stronie, jakby chciał odświeżyć swą pamięć na temat jakiegoś pomniejszego incydentu, który stał się istotny jedynie z powodu irytacji wywołanej u kogoś na wyższym szczeblu.

Kiedy już skończył, znowu uniósł wzrok i oznajmił zimnym tonem:

— Panie Reed, przypuszczam, że wie pan, dlaczego pan się tutaj znalazł?

— Myślę, że tak, sir – z powodu mojej sugestii technicznej.

— Ma pan rację.

— I została ona przyjęta? — żarliwie zawołał młodszy astronauta.

— Nie została! — warknął wyższy oficer. — Prawdę mówiąc…

— Ale, sir, nie rozumiem…

— Cisza! — rozkazał komandor Breckenridge. Niemal automatycznie jego prawa ręka otworzyła górną szufladę biurka, w której znajdowała się fiolka z trójkolorowymi kapsułkami. Dłoń komandora zatrzymała się koło niej, przebierając palcami we wnętrzu szuflady, z nadgarstkiem opartym o jej krawędź. Popatrzył na pigułki i zdawał się zastanawiać, czy lepiej będzie doprowadzić tę bolesną rozmowę do końca w kulturalny sposób, czy też pozwolić sobie na okazanie słusznego gniewu.

— Panie Reed — ciężko oznajmił, — pańskie zdolności i kwalifikacje zostały jak najdokładniej przeanalizowane przez Biuro Osobowe i na skutek jego przemyślanej decyzji został pan skierowany na zastępstwo tutaj, w Biurze Operacji. Nie został pan – powtarzam, nie został pan – umieszczony w Biurze Naukowo-Badawczym. Czy to jest jasne?

— Tak jest, sir. Ale…

— Panie Reed, nie mogę zaprzeczyć istnieniu zapisów w Regulaminie, w których zachęca się zarówno oficerów jak i marynarzy, do zgłaszania sugestii usprawniających służbę. Jednakże każdy powinien trzymać się swojej roboty. Korzyści z tego rodzaju działań stają się wadami, kiedy jakiś oficer lub marynarz próbuje wtrącać się w pracę innych działów. To działa w obie strony, panie Reed. W całym Biurze Naukowo-Badawczym żaden oficer w żadnej sprawie nie będzie próbował mówić mi jak mam organizować pracę w moim Biurze Operacji. I na odwrót, byłbym niesamowicie zdumiony, gdyby jakiś oficer z Operacji doszedł do czegoś, co nie byłoby już od lat znane Biuru Naukowo-Badawczemu.

— Tak, sir. Rozumiem pańskie stanowisko, sir. Ale gdyby moje sugestie znane były Biuru Naukowo-Badawczemu już od lat, to czemu jeszcze nie zostały wprowadzone do użytku?

— Ponieważ, panie Reed, to nie będzie działać!

— Ale, sir, to musi działać!

— I pan jest na tyle mocno przekonany co do tego, że miał pan czelność obejść moje biuro?

— Sir, pan sam przed chwilą wygłosił uwagę, że nie rości pan absolutnie żadnych pretensji do jakiejkolwiek wiedzy w sprawach naukowych.

— No dobrze, przedyskutujmy tę kwestię w ciągu następnych paru minut. Czemu uważa pan ten pański pomysł, za tak istotny, panie Reed?

— **S**ir — powiedział Reed, — maksymalny zasięg do osiągnięcia punktu bez powrotu, dla naszych najlepszych statków kosmicznych, wynosi zaledwie nieco ponad siedemnaście lat świetlnych. Moja sugestia dotyczy środków, pozwalających na jego stukrotne powiększenie. Może nawet więcej. Gdyby to ode mnie zależało, każdy pomysł, nawet tylko sugerujący sposób rozszerzenia zasięgu lotów, natychmiast by otrzymał najwyższy priorytet.

— Innymi słowy, uważa pan że wszystko co prowadzi do rozszerzenia kręgu naszych działań, jest najistotniejszą rzeczą w całej Służbie Kosmicznej?

— No cóż, sir, być może nie absolutnie najistotniejszą, ale…

— Pańska skromność jest godna pochwały. Zakładam, że dzięki tej skromności, pańskie oczekiwania nie przekraczają Listu Pochwalnego z Biura Sekretarza?

— Nie rozumiem, sir.

— Naprawdę? Panie Reed, czy pańskie pragnienie poprawy sposobu działania Operacji, jest tylko zwykłym pragnieniem usprawnienia Służby – czy też ma pan może nadzieję, że pańska błyskotliwa sugestia mogłaby, tak hipotetycznie, przynieść panu lepszy przydział?

— Nadal nie rozumiem.

— Och, nie rozumie pan? Panie Reed, jaki był najważniejszy powód pańskiego wstąpienia do Służby Kosmicznej?

— Ponieważ, sir, miałem nadzieję, że mógłbym okazać się przydatny dla ludzkości w rozprzestrzenieniu się na całą Galaktykę.

— Panie Reed, czy nie może pan usiedzieć na tyłku?

— Sir?

Komandor westchnął.

— Miał pan nadzieję, że poleci pan w kosmos, nieprawdaż?

— No cóż, sir. Miałem nadzieję, że zostanę prawdziwym astronautą.

— I jest pan rozczarowany?

Na twarzy Howarda Reeda pojawił się smutek, widać było że jest rozdarty między pragnieniem zwierzenia się swemu dowódcy i obawą, że czyniąc to, narazi się na ostrą krytykę ze strony Służby Kosmicznej.

Wtedy jednak Reed zdał sobie sprawę, że tak czy tak znalazł się w kiepskiej sytuacji, i wyznał:

— Sir, zaciągnąłem się jako młodszy astronauta, ale przez trzy lata służby brałem udział tylko w jednym krótkim locie testowym – i to wyłącznie na Księżyc! Jestem kompetentnym pilotem – albo przynajmniej tak twierdzą symulatory lotu podczas moich testów kontrolnych. Pełnię funkcję młodszego astronauty, a jednak za każdym razem kiedy wnioskuję o przeniesienie mnie do aktywnej służby poza Ziemią, otrzymuję odmowę! Trzy lata, sir, które spędziłem w Służbie, poświęciłem na rozwiązywanie teoretycznych i hipotetycznych problemów pojawiających się w działaniach w kosmosie. Ale poza tym jedynym lotem testowym na Księżyc, nawet nie postawiłem nogi na pokładzie żadnego pojazdu kosmicznego, nie mówiąc już o tym, żeby stanąć na jakiejś obcej planecie!

— Musi pan nauczyć się cierpliwości, panie Reed.

— Cierpliwości, sir? Proszę mnie posłuchać, sir, wziąłem tę siedzącą robotę, dopóki nie będę mógł polecieć tam na górę. Ale potem postawiłem sobie pytanie, dlaczego mamy Służbę Kosmiczną wyposażoną w statki kosmiczne, a ciągle tak mało latamy w kosmosie. I dowiedziałem się. Jesteśmy ograniczeni do maksymalnego zasięgu siedemnastu lat świetlnych. Nawet lot na Eden, w układzie Tau Ceti, naszą najbliższą kolonię, wymaga pokonania jedenastu i osiem dziesiątych roku świetlnego, a na to potrzeba ogromnych zasobów energii.

— Zgadza się — przyznał komandor.

— Teraz jednak, sir, gdybyśmy mogli zwiększyć nasz zasięg sto razy, to wcale nie znaczy, że musimy fizycznie zwiększyć zasoby energetyczne statków kosmicznych, aby odpowiadały tak odległemu punktowi bez powrotu. Wręcz odwrotnie, oznacza to, że moglibyśmy wysłać statek w krótki lot na Eden, wykorzystując jedną setną poprzedniej ilości energii – co pociąga za sobą olbrzymie możliwości przewozowe, zarówno jeśli chodzi o cargo, jak i o przestrzeń dla pasażerów. Sir, to pozwoliłoby uruchomić prawdziwą wymianę handlową!

Komandor Breckenridge nie okazał nawet cienia reakcji.

— I pan miał nadzieję znaleźć się między nimi?

— Tak, sir! Sir, już jako dzieciak czytałem o pierwszych próbach eksploracji kosmosu, dwieście lat temu. Oczywiście, nie mogłem mieć nadziei postawienia stopy na jakiejś nowej planecie, ponieważ każda możliwa planeta położona w zasięgu siedemnastu lat świetlnych, została już przebadana. Ale chciałem na własne oczy zobaczyć kosmos, sir – i miałem nadzieję, że pomogę przesunąć granice Ludzkości poza ten dosyć niewielki limit.

— Tak, mogę zrozumieć niecierpliwość młodości — stwierdził komandor Breckenridge. — To, jestem w stanie panu wybaczyć. Ale próby wykonywania roboty innych ludzi, nie.

— Sir, to zabrzmiało tak, jakby twierdził pan, że nikt nie może mieć dobrych pomysłów technicznych, poza personelem inżynieryjnym Biura Naukowo-Badawczego.

W odpowiedzi komandor przerzucił kilka kartek z pliku papierów. Powiedział:

— Panie Reed, to właśnie wyniknęło z pańskiej poronionej próby zdobycia poklasku naukowców, zamiast przesłania swoich sugestii przez standardowe kanały. Zacytuję teraz kilka odpowiednich fragmentów z listu od komandora Briggsa, kierownika Biura Naukowo-Badawczego. Proszę posłuchać:

„…młody geniusz ponownie odkrył kierunek matematycznych rozważań, znany u nas w Naukowo-Badawczym jako „Szaleństwo Hansena", ponieważ został on po raz pierwszy użyty przez młodego astronautę Hansena, jakieś sto pięćdziesiąt lat temu. Szaleństwa Hansena należy się spodziewać u młodych, ambitnych młodszych oficerów, z gwiazdami w oczach. Byłbym nawet skłonny mu pogratulować… gdyby nie fakt, że Szaleństwo Hansena objawia się z taką regularnością, że utrzymujemy tu w Naukowo-Badawczym regularne zakłady przeciwko kolejnym jego „odkryciom". Z radością cię informuję, że ty, twój młody geniusz i cały twój departament właśnie „wygraliście" dla mnie ogromny zaszczyt (?) postawienia kolacji dla całego Klubu Oficerskiego, w następną sobotę.

Nie bądź zbyt twardy dla młodego Reeda; ponowne odkrycie Szaleństwa Hansena, wskazuje na dosyć błyskotliwy umysł. Jednakże,

Breck, naprawdę pogratuluję twojemu zdolnemu młodzieńcowi, jeśli zdoła – bez żadnych dalszych wskazówek – zasiąść ponownie nad swoimi obliczeniami i znaleźć w nich błąd. Będę…”

— Jest tego jeszcze więcej, ale w podobnym stylu — spokojnie oznajmił Breckenridge. — Tyle wystarczy.

— Wystarczy, sir?

— Wystarczy do tego, aby pana powiadomić co się dzieje. Tak więc, panie Reed, zarzuca się panu popełnienie zuchwałego wybryku w złym guście, polegającego na obejściu standardowych kanałów. Taki występek wymaga jakiejś formy kary, ale gdybym próbował podejścia oficjalnego, niestety jakiś orzeł prawniczy łatwo mógłby wykazać, że pańskie zachowanie wynikało z najlepszej wiedzy i jego zamiarem było poprawienie funkcjonowania Służby. Ponadto, byłbym oskarżany o to, że wyładowałem swoją zemstę na pańskiej nieszczęsnej osobie, za uczynienie mego nazwiska celem żartów w Klubie Oficerskim.

— Bardzo mi przykro, sir.

— Przeprosiny, to za mało, panie Reed. Mam jednak plan, który zadowoli wszystkich zainteresowanych. Chciał pan zostać aktywnym astronautą? Doskonale. Kolejny okres pańskiej służby odbędzie się na Stacji Sił Kosmicznych na planecie Eden, w układzie Tau Ceti. Zakończy się on, kiedy w końcu uda się panu znaleźć błąd w Szaleństwie Hansena i będzie pan potrafił pokazać ten błąd, satysfakcjonując Komandora Briggsa. Czy wyraziłem się jasno, panie Reed?

— Tak jest, sir, i bardzo panu dziękuję, sir. To dla mnie prawdziwy zaszczyt, sir.

— Panie Reed, wbrew pewnemu staremu powiedzeniu, rozsądną rzeczą jest zajrzeć darowanemu koniowi w zęby, a przynajmniej zanim zacznie się za niego dziękować.

III

Specjalista Norman Ross uśmiechnął się, na stwierdzenie swego gospodarza.

— Tak, rzeczywiście, panie Harrison. Takie zaaranżowanie spraw, abyśmy mogli utrzymać Normę, często jest delikatnym i żmudnym zadaniem. Są pewne ograniczenia, musimy brać pod uwagę wiele zmiennych, wśród których do najbardziej wrażliwych należą uczucia związanych ze sprawą ludzi.

— Pańska praca musi prosić się o krańcowe zdolności dyplomatyczne — zauważyła pani Harrison.

Specjalista Ross potwierdził słowa żony gospodarza skinięciem głową.

— A jednak — powiedział po chwili namysłu, — jeszcze większą nawet wartość ma absolutne zachowanie idealnej prawdy. To wymaga bezwzględnej dyscypliny, w przyznaniu się do błędu, oraz umiejętności

precyzyjnego określenia jak, gdzie, dlaczego, i co najważniejsze w jakim stopniu, został on popełniony.

— Nie rozumiem — przyznała gospodyni.

— Pani Harrison, weźmy na przykład Bertrama.

Rzuciła spojrzenie na swego syna. W dawnych czasach, określono by go jako „ociężały". Podczas kolacji Bertram potrafił poprawnie użyć widelca, we właściwy sposób posługiwał się nożem, rozmawiał z osobami siedzącymi z obu stron – a jednak wiedziała, że coś jest nie tak.

— Bertram — spytała, — czy nie zapomniałeś wziąć swoich pigułek?

— Przepraszam, mamo — odparł młody człowiek bezbarwnym tonem.

Bertram wstał i wyszedł, zaś Specjalista Ross powiedział:

— I o to właśnie mi chodziło, pani Harrison. Genetyka nie jest nauką ścisłą; ma charakter statystyczny. Możemy uważać za bardzo korzystne małżeństwo dwojga zrównoważonych ludzi i możemy przewidywać, że taki związek da w wyniku zrównoważone dzieci. Niestety, nie potrafimy zagwarantować pożądanych rezultatów. Stąd mamy takie anomalie, jak Bertram, których problemem jest po prostu brak motywacji. I nie jest to ani pani błąd, pani Harrison, ani pański, panie Harrison. Mógłby to być błąd Genetyki, ale jeśli już była to nasza „wina", to leży ona w braku pełnej wiedzy; nie w niewłaściwym użyciu, czy też w braku użycia, wiedzy którą byśmy wcześniej posiadali.

— Rozumiem, co pan ma na myśli, Specjalisto Ross.

— Ujrzycie państwo również przeciwległy biegun, kiedy pojawią się Hanfordowie. W tamtym przypadku mamy również stabilnych rodziców, jak u państwa. Proszę mi wybaczyć moją uwagę, ale gdyby karty charakterystyk całej waszej czwórki rozważane były jednocześnie, i to ja miałbym wyrazić swoją opinię na temat najbardziej korzystnych kombinacji rozrodczych, nie potrafiłbym sformułować żadnych preferencji, tak państwo są wyrównani. A tymczasem państwa związek dał w wyniku Bertrama. Równocześnie rezultatem ich małżeństwa jest dzika, uparta, samowolna dziewczyna.

Bertram spokojnie wrócił i usiadł, a kiedy Specjalista Ross skończył mówić, odezwał się przepraszająco:

— Wziąłem podwójną dawkę, mamo.

— Czy tak będzie dobrze? — spytała Rossa.

— Pewnie nie zaszkodzi — odparł.

Pan Harrison odchrząknął.

— Nie jestem pewien, czy powinienem się zgadzać na ślub Bertrama z upartą dziewczyną, Specjalisto Ross.

Pani Harrison wtrąciła:

— Williamie, tak będzie najlepiej.

— Dla Bertrama?

— Posłuchajcie mnie państwo — oznajmił Ross. — Musimy przestać myśleć wyłącznie o dobru jednostki jako takiej i zacząć ją postrzegać jako część zintegrowanego społeczeństwa. Człowiek nie jest samotną wyspą,

panie Harrison. W mniej zaawansowanej cywilizacji, Bertram mógłby się spotykać z innymi równolatkami o rozmaitych osobowościach. Niewykluczone, że spotkałby kogoś, komu – podobnie jak jemu – brakowałoby motywacji i inicjatywy, w wyniku tego otrzymalibyśmy rodzinę z dziećmi ociężałymi umysłowo. Gdyby miał tego pecha, że poślubiłby kobietę z inicjatywą i ambicjami, ich dzieci mogłyby być normalne, ale całe ich życie domowe byłoby nieustanie polem emocjonalnej walki. Przy tym…

— A czyż nie to właśnie otrzymamy obecnie? — spytał pan Harrison.

— Absolutnie, nie. Otrzymamy normalne, szczęśliwe dzieci, które bez wątpienia wyrosną na wspaniałych, stabilnych dorosłych. Aby to uzyskać, oczywiście, ich życie domowe musi być szczęśliwe i spokojne. Przepiszemy im – biorąc pod uwagę zmianę emocjonalną, wynikającą z małżeństwa i…

Dalsze wyjaśnienia uczonego przerwał dzwonek.

— Pozwólcie mi, państwo — powiedział podnosząc się i kierując do drzwi mieszkania. Harrisonowie podążali za nim, w niewielkiej odległości. To byli Hanfordowie.

Nastąpiło ogólne zamieszanie powitań i rozmów o drobiazgach.

— Nie mieli państwo kłopotów?

— Nie, droga między miastami jest dokładnie oznakowana…

— Śliczne mieszkanie, pani Harrison.

— Pani Hanford, tutaj w Filadelfii, czujemy się jakbyśmy mieszkali niemalże w dzielnicy willowej.

— Panie Hanford, mam pana coś dobrego – udało mi się zachomikować butelkę naturalnego bourbona!

— Doskonale, to będzie prawdziwa przyjemność!

— To jest naprawdę wydarzenie, Specjalisto Ross.

— Wie pani, pani Hanford, vidfon nie oddaje w pełni pani urody.

— Och, dziękuję bardzo!

— Panno Hanford, czy mogę pani przedstawić Bertrama Harrisona?

— Jak się masz?

— Mam się tak, jak mam ochotę. A ty, jakie wymówki mi tu będziesz prawił?

— Słucham?

— Ależ, Glorio!

— Bertram, pokaż Glorii szklarnię z kwiatami. No dalej, idźcie!

Specjalista Ross obserwował młodą parę, przez przeszklone drzwi na zewnętrzny taras. Odwrócił się do Harrisona i spytał:

— Czy wszystko przygotowane?

Harrison skinął głową.

— Miałem trochę problemów z ludźmi z Programów Muzycznych, dopóki nie użyłem pańskiego nazwiska. Obiecali, że Program R-147 będzie przekazywany do szklarni. Szczerze mówiąc, myślę, że R-215 jest lepszy.

Ross zaśmiał się łagodnie.

— Pewnie jakieś szczęśliwe skojarzenia.

— Moja żona i ja zawsze odtwarzamy go na nasze rocznice — przyznał pan Harrison.

— Dobry pomysł! Ale R-215 jest dla normalnych, szczęśliwie zrównoważonych, młodych ludzi, którzy pewnie i bez niego by się w sobie zakochali. R-147 jest strzałem w dziesiątkę dla przeciwieństw emocjonalnych.

— No cóż, na szczęście mamy ten program załatwiony. Co teraz będziemy robić?

Ross uśmiechnął się uspokajająco.

— Poczekamy. Poznamy się lepiej, ponieważ jest bardzo duże prawdopodobieństwo, że wasze dwie rodziny połączą się przez małżeństwo państwa dzieci. Potem będę musiał założyć im nową teczkę w Biurze Genetyki Departamentu Spokoju Domowego. Przez kolejne lata będziemy się przyglądali jak dorastają państwa wnuki i wykonywali okresowe kontrole, rozwijając dzięki temu wiedzę ludzkości o genetyce.

— Czy tego rodzaju władza nad ludźmi nie wpędza was w kompleks Boga? — spytał pan Hanford.

— Nie, zupełnie. Gdybym był Bogiem, z pewnością potrafiłbym zaaranżować te sprawy znacznie lepiej.

— W jaki sposób?

— Na skutek praw tworzonych przez ludzkość, nie wolno nam wykonywać aktywnych badań genetycznych na ludzkiej rasie. Stosujemy więc do ludzkich drzew genealogicznych to, co obserwujemy wśród myszy, czy muszek owocowych. Już od wieków wiemy jak otrzymywać ludzi o niebieskich lub brązowych oczach, albo, gdybyśmy chcieli, moglibyśmy zmienić nas w rasę grubasów czy chudzielców, wysokich lub niskich. Jednak, naszym głównym celem nie jest krańcowa czystość pod względem którejś z cech fizycznych. Chcemy otrzymać stabilnych, szczęśliwych ludzi, poprzez wyeliminowanie ospałych osobowości poniżej normy, i bardzo pobudliwych, powyżej niej.

Naukowiec pomyślał przez chwilę, a potem, przypominając sobie Bertrama, który zapomniał wziąć swoje pigułki pobudzające, dodał:

— Niestety jesteśmy blokowani przez prawo. Mogę przepisać lekarstwa i terapię, ale nie mam mocy by zmusić pacjenta do podjęcia leczenia. To najtrudniejsza sprawa, proszę mi uwierzyć.

— A to, dlaczego? — spytała pani Harrison, wykazując pewne zainteresowanie.

— Typy ospałe są bardzo skłonne do zapominania o lekarstwach, czy terapii, albo traktowania ich jako zbyt kłopotliwych. Typy nadaktywne wolą jeździć na nartach wodnych na Lake Superior, niż wysłuchiwać uspokajających dźwięków przepisanej muzyki, a lekarstwa wyrzucają do kanalizacji, zamiast je łykać.

— Ma pan mnóstwo problemów, nieprawdaż? — stwierdziła współczująco pani Hanford.

— O, tak. Ale największe kłopoty sprawiają nadaktywne młode kobiety. Młodych mężczyzn, da się jakoś urobić, w ten czy w inny sposób – metod jakie można tu zastosować, nie da się niestety wykorzystać w przypadku kobiet. — Specjalista Ross uśmiechnął się do pana i pani

Harrison. — Tak więc, w zasadzie jesteśmy wdzięczni za typy ospałe. Pozwalają one nam na wywarcie doskonałego wpływu otrzeźwiającego na…

Słowa naukowca przerwane zostały przez nieartykułowany krzyk dobiegający spoza przeszklonych drzwi.

Harrisonowie, Hanfordowie i Specjalista Ross, zerwali się na nogi i ruszyli w stronę wyjścia na taras. Nie zdążyli pokonać całej drogi do przeszklonych drzwi, ponieważ wpadła przez nie z przytupem Gloria Hanford. Oczy miała rozjarzone i ocierała jedną dłoń drugą.

— Co…?

Gloria rzuciła ostro:

— Czy ktoś coś naopowiadał tej głupiej kupie mięcha?

— Ale co się stało? — spytał pan Harrison.

— Och, mogłabym jeszcze wytrzymać, to całe głupie udawanie, że nigdy w całym swym życiu nie był jeszcze sam na sam z dziewczyną. Ale próbować mnie pocałować!

— Czy to właśnie wywołało ten wybuch? — spytał Ross.

— Kiedy spytał mnie, czy może mnie pocałować, odpowiedziałam mu, że swoje pocałunki zachowuję dla mężczyzn!

— I co wtedy?

— Potem zdecydował, że chodziło mi o bycie mężczyzną na tyle, aby spróbować siły. — Gloria roześmiała się, ale potem wyglądała na zadumaną.

— A co jest w tym takiego zabawnego – i jednocześnie wcale nie zabawnego?

— Właśnie sobie uświadomiłam, że ja lubię mężczyzn!

— A co z Bertramem?

— Niech mnie diabli, jeśli to nie jest pierwszy raz, kiedy ktoś próbował mnie obłapiać — stwierdziła Gloria rzeczowym tonem, tak jakby tematem dyskusji była raczej jej fryzura, a nie cnota. — Złapałam go za łapsko, podsunęłam rękę pod jego ramię, pociągnęłam do przodu i przerzuciłam tego wielkiego idiotę przez biodro, tak że przeleciał przez poręcz i wpadł do jakiegoś głupiego stawu z rybkami.

— Gloria! — wybuchła jej matka.

— Biedny Bertram! — wykrzyknęła jego matka.

Ross głęboko westchnął.

— Na początku sprawy często kiepsko idą. Bertram nie powinien brać podwójnej dawki przeznaczonej dla niego medytacji. Domyślam się, że Gloria również niezbyt drobiazgowo przestrzegała swojej. Teraz jednak…

Przerwało mu przybycie Bertrama Harrisona, który wyglądał, jakby właśnie przetoczyła się przez niego fala lawiny błotnej. Ruszył zdecydowanie w stronę dziewczyny. Gloria przykucnęła w pozycji judoki i oznajmiła:

— Chcesz jeszcze? No to chodź!

— Wstrzymajcie się na chwilę — polecił Ross. — Gloria, skąd pani w ogóle zna takie brutalne, wojownicze metody?

Gloria odwróciła się do niego, ale utrzymywała Bertrama na oku.

— Z książek – a skąd bym mogła, na tej spokojnej, nudnej planecie?

Naukowiec stwierdził:

— Widzi pani, panno Hanford, skutki pani oburzającego zachowania? Popełniła pani akt przemocy fizycznej. Pani…

Dziewczyna wydała z siebie pojedyncze szczeknięcie ostrego śmiechu.

— A kto zaczął te jaskiniowe zaloty?

— Myślę — oznajmił Ross czwórce rodziców, — że to spotkanie musi zostać przesunięte na jakąś późniejszą datę. Bertramowi nie wolno przedawkowywać w niefortunnych wysiłkach nadrobienia pominiętych medytacji. Glorii nie wolno uchylać się przed swoimi – i, pani Hanford, musi pani nie tylko dokładnie uważać na to, żeby ona brała swoje pigułki; musi pani również upewnić się, że Gloria nie przeciwdziała im przez ukradkowe pozyskiwanie żadnych podniet, które zneutralizują środki uspokajające.

— I pewnie jeszcze mam odwołać wszystko to, co powiedziałam? — zaczęła dopytywać się Gloria. — A co jeżeli nie zgodzę się dzielić łoża i stołu z tą przerośniętą śniętą rybą?

W pokoju zaczęła narastać cisza, aż w końcu ucichły wszystkie szmery i z patio zaczęły dolatywać cichutkie, słodkie tony romantycznej muzyki. Program R-147.

W końcu Ross oświadczył:

— Panno Hanford, nie mogę pani do niczego zmusić, ale jeśli nie podporządkuje się pani temu, co uważamy za najlepsze dla społeczeństwa, możemy uczynić pani życie ekstremalnie przykrym. Z pewnością pani stwierdzi – jeśli zada pani sobie trud, żeby się temu przyjrzeć – że na planecie Eden, w układzie Tau Ceti, mamy do czynienia z drastycznym brakiem niezamężnych młodych kobiet.

— Chce pan powiedzieć… emigracja… do kolonii?

— Dokładnie to miałem na myśli.

Twarz Glorii Hanford zbielała. Zrozumiała, że jeżeli Specjalista Ross ześle ją na Eden na Tau Ceti, to skończy na Edenie na Tau Ceti, i nie miało znaczenia czy stanie się tak na skutek zastosowania otwartej siły, zawoalowanego przymusu, czy łagodnej perswazji.

Pani Hanford zrobiła krok do przodu i otworzyła usta, żeby się odezwać. Zanim jednak zdążyła zaprotestować, jej mąż wyciągnął rękę i powstrzymał ją. Jego zachowanie świadczyło o przyznaniu, że ani pieniądze, ani pozycja, ani logika nie będą w stanie zmienić decyzji Rossa.

— Eden w układzie Tau Ceti — wyszeptała Gloria. Odwróciła się w stronę Bertrama Harrisona. — Młody — oznajmiła suchym, pełnym napięcia głosem, — jeśli będziesz trzymał łapy przy sobie, to wracajmy do ogrodu i poznajmy się.

Jej ojciec odetchnął pełną piersią.

Pan Harrison poklepał go po ramieniu.

— A co pan powie na spróbowanie tej butelki naturalnego Bourbona? — zasugerował.

— Nie — oznajmiła wstrząśniętym głosem pani Hanford, — beze mnie!

IV

Pierwsza wyprawa człowieka przez bezmiary międzygwiezdnej przestrzeni kosmicznej, była dwadzieścia razy bardziej owocna niż jego pierwsze bezładne próby eksploracji w Układzie Słonecznym. Spośród wszystkich nieruchomości niebieskich, orbitujących wokół starego Słońca, tylko Ziemia nadawała się do życia – o ile nam wiadomo. Przetrwanie w każdym innym miejscu, zależało od zabrania ze sobą z Ziemi dostatecznie dużych zasobów środowiskowych, aby wystarczyło na całą podróż. Z punktu widzenia nauki, pierwsze wyprawy eksploracyjne w kosmos były wspaniałymi operacjami, ale zanim udało się znaleźć miejsce, które mogłoby przyjąć miliony rojących się na Ziemi ludzi z jej eksplodującej populacji, pacjent niemalże zmarł. Ponieważ potrzeba było ćwierci stulecia, zanim Murray, Langdon i Hanover złamali barierę Einsteina.

Dzięki pieczołowitym obliczeniom, a następnie szacowaniu każdego grama, konfrontując go z matematycznie określoną równowagą między zasobami energii i przestrzenią załogową, wyznaczono zasięg pojazdów kosmicznych, do osiągnięcia punktu bez powrotu, który wynosi nieco ponad siedemnaście lat świetlnych.

W obrębie siedemnastu lat świetlnych od Słońca, znajduje czterdzieści jeden innych gwiazd.

Wśród tych czterdziestu jeden gwiazd, są trzy układy potrójne, dwanaście złożonych z dwu gwiazd, co łącznie eliminuje piętnaście. Z pozostałych dwudziestu sześciu gwiazd pojedynczych, jedną jest oślepiająco niebieski gigant Altair, dwie gwiazdy są białymi karłami, a dziewiętnaście to słabe czerwone karły typu widmowego M. Wszystko to z oryginalnych czterdziestu jeden gwiazd eliminuje wszystkie, poza czterema. Z pozostałej czwórki Epsilon Eridani, Epsilon Indi i Groombridge 1618 wpadają w pomarańczowy typ widmowy K, który nie jest specjalnie odległy od typu widmowego Słońca G. Ale typ K jest tylko podobny, nie jest to trafienie w ten niewielki cel, w którym kombinacja wszystkich czynników sumuje się, dając środowisko planetarne pozwalające na istnienie życia ludzkiego.

W ten sposób, po wyeliminowaniu czterdziestu z czterdziestu jeden gwiazd znajdujących się w sąsiedztwie Słońca, pozostaje jedynie Tau Ceti. Tau Ceti jest także gwiazdą typu widmowego G, i dlatego właśnie Tau Ceti została uznana za oferującą największe szanse sukcesu, już na długo wcześniej zanim ludzkość wypracowała najbardziej mgliste koncepcje w jaki sposób pokonać barierę wielu lat świetlnych, i na długo wcześniej,

zanim stworzono dostatecznie czułe przyrządy do stwierdzenia, że Tau Ceti posiada układ planetarny.

Układ planetarny Tau Ceti może być uznany za przykład geniuszu logiki i rozumowania. Drugą planetą w rodzinie Tau Ceti, jest Eden.

Na Edenie może istnieć życie.

Albo może właściwiej będzie powiedzieć, że środowisko Edenu pozwala na to, by żywe stworzenia przetrwały o własnych siłach. Voltaire, ustami swoich postaci Kandyda i Panglossa powiedział wiele o tym, czy Ziemia jest najlepszym możliwym ze światów, podając zarówno argumenty za, jak i przeciw. Ale on nigdy nie był na Edenie. Eden został ochrzczony przy wykorzystaniu zasad handlu nieruchomościami, dyktujących że tereny mieszkalne na bezdrzewnych równinach w środkowym Kansas, powinny zostać nazwane „Leśne Wyżyny”.

V

Młodszy astronauta Howard Reed miał już za sobą krótki okres podekscytowania, który obecnie zamienił się w nudę. Podekscytowanie wynikało z faktu przeżywania pierwszych doświadczeń z podróżami kosmicznymi i dreszczyku emocji, postawienia nogi na planecie znajdującej się niemalże dwanaście lat świetlnych od domu. Dreszczyk zniknął zaraz jak tylko się zorientował, że ludzie na Edenie, w układzie Tau Ceti, są zdecydowanie za bardzo zajęci, aby się przejmować uczuciami jakiegoś młodego astronauty.

Gdyby jego obowiązki były bardziej wymagające, Reed pewnie spędziłby tam trochę więcej czasu, zanim zaczął się nudzić. Ale jako młodszy oficer Służby Kosmicznej, Reed nie miał na Edenie żadnych korzeni, ziemi, ani ważnych interesów.

Służba Kosmiczna zrodziła się z rywalizacji między podobnymi organizacjami, podczas pełnego napięć okresu międzynarodowej rywalizacji. Przeżywała ona szczególne dobre dni we wczesnych latach pierwszych międzygwiezdnych wypraw eksploracyjnych. Przywódcy Służby Kosmicznej mieli dużą ochotę na wystrojenie się w piórka posiadaczy stałego miejsca wśród najwyższych władz. Odkryli, że najlepszą na to metodą jest wykorzystanie każdego sposobu epatowania opinii publicznej, straszakiem natknięcia się na jakąś wojowniczą cywilizację „z kosmosu”. Potem jednak, mijały lata, bez żadnego kontaktu, czy choćby nawet śladu istnienia innych istot żywych niż ludzie i zabrane przez nich z Ziemi stworzenia. Służba Kosmiczna znalazła się w sytuacji, w której niewiele miała do roboty.

Nie powstrzymało to jej, od robienia stałego hałasu o pieniądze, ludzi i materiały. Ale zadaniem Służby Kosmicznej nie było polowanie na piratów w kosmosie. Jedyne miejsca, w których można było odnowić zapasy paliwa statków, były w rękach samej Służby Kosmicznej, a były to instalacje na tyle duże, że do ich budowy oraz utrzymania, trzeba było

bogactwa i geniuszu całych kontynentów. Do zadań Służby Kosmicznej nie należało również toczenie gwałtownych wojen międzygwiezdnych, z zajadłymi, super-inteligentnymi międzygwiezdnymi kosmitami, mającymi ochotę na ludzkie mięso – a przynajmniej nie, dopóki ludzie i tacy kosmici się nie spotkają.

W efekcie więc Służba Kosmiczna utrzymywała, w dosyć chaotyczny sposób, perymetr stacji detekcyjnych i strażniczych, które równie dobrze można by zupełnie zautomatyzować… gdyby nie fakt, że Służba Kosmiczna miała znacznie więcej personelu, niż była w stanie znaleźć dla niego roboty.

Dzięki całej tej sytuacji, młodszy astronauta Howard Reed miał wiele czasu na myślenie.

Proces ten wypełniała cywilizacja Edenu na Tau Ceti.

Eden używał staromodnych telefonów, ponieważ jego ludność była za bardzo rozproszona na powierzchni planety, by praktycznym było wykorzystanie vidfonów. Stacje radiowe utrzymywane były przez rząd, jako publiczna agencja informacyjna. Musiało tak być. Przedsiębiorstw komercyjnych było zbyt mało, aby utrzymać stacje radiowe na bazie osiąganych zysków. Po prostu było tu za mało ludzi. A jeśli nie mogły się utrzymać nawet proste stacje radiowe, to tym bardziej nie było miejsca dla starej płaskiej telewizji, nie mówiąc już o trivideo.

Ich cywilizacja była mocno zróżnicowana. Mieli wiedzę odpowiadającą bardzo rozwiniętej technicznie, mocno zintegrowanej cywilizacji miejskiej, ale brakowało im sprzętu niezbędnego do jej stworzenia. Niektórzy z ludzi mieli samochody powietrzne, ale używali także koni. Konie można było rozmnażać. Samochody powietrzne musiały być produkowane. Nie było zasadniczego zakazu transportu statkami z Ziemi na Eden, podstawowych narzędzi i części do wytwarzania samochodów powietrznych. Ale próba stałego napełniania żarłocznych paszcz automatycznych fabryk montażowych przy pomocy surowców dostarczanych z baz w domu, byłaby samobójstwem ekonomicznym. A potem, seria z jednego tygodnia nasyciłaby rynek na Tau Ceti. Byli tu nawet ludzie, sami którzy grali na swoich instrumentach muzycznych, ponieważ stanęli oni wobec dobrze znanego faktu ekonomicznego, że pierwsze nagranie fonograficzne, od podstaw, kosztuje pięć tysięcy dolarów. Nikt nie zrobi płyty, dopóki nie sprzeda się pięćdziesięciu tysięcy jej egzemplarzy. Populacja, która by kupiła pięćdziesiąt tysięcy płyt, tutaj nie istniała.

Mówiąc prosto, kolonia na Edenie daleka była od stanu rozkwitu. Stanowiła ona klasyczny przykład prostej ekonomicznej prawdy, że w pełni zintegrowanego społeczeństwa technicznego, nie da się utrzymać na terenach rzadko zaludnionych.

Ambicje mają wiele źródeł. Motywacją może być także pragnienie powrotu do domu. W jego wyniku, młodszy astronauta Howard Reed siedział zanurzony po uszy w problemie matematycznym, nazywanym Szaleństwem Hansena.

W miarę jak mijały kolejne miesiące, wyczerpał swoją oryginalną wiedzę. Udał się więc do biblioteki, do miejscowych szkół, a także sam wiele studiował, żeby lepiej zrozumieć temat. Podchodził do podstaw matematyki napędu międzygwiezdnego z kilku różnych kierunków, nawet wracając do starych, oryginalnych równań Einsteina i analizując ich błędy w nadziei, że takie rozważania mogą mu wskazać sposób rozwiązania problemu.

Potem, kiedy liczba miesięcy zaczęła rosnąć, zbliżając się do końca pierwszego spędzonego tutaj roku, Reed zaczął wykorzystywać swój luźny, nieformalny sposób funkcjonowania w Bazie Służby Kosmicznej. Począł eksperymentować ze sprzętem opartym na tej teorii, w nadziei że lepiej zrozumie problem, jeśli oprócz pracy czysto naukowej, spróbuje jakichś prac empirycznych.

Młodszy astronauta Howard Reed był na Edenie już od osiemnastu ziemskich miesięcy, kiedy jego przełożony, przylatujący w podróży inspekcyjnej, otworzył drzwi zarezerwowanego dla siebie biura w Budynku Administracji. Ósmego dnia swej wizyty, komandor Breckenridge wezwał młodego astronautę do swojego biura. Zapytał go:

— Panie Reed, czy odniósł pan jakieś sukcesy w poszukiwaniu błędów w Szaleństwie Hansena?

— No cóż, sir. Niezupełnie.

— Czy teraz lepiej rozumie pan realia życiowe?

— Sir? Nie do końca pojmuję.

— Naprawdę? No dobrze, być może potrzebuje pan niewielkiej pomocy. Na przykład, panie Reed, czy może pan mi podać oszacowanie powierzchni użytecznych obszarów lądowych na Edenie?

— Sir, całkowita powierzchnia lądów wynosi około pięćdziesięciu milionów mil kwadratowych. Być może jakaś połowa z tego jest użyteczna, albo mogłaby być.

— Acha. Powiedział pan „mogłaby być”. Dlaczego, panie Reed?

— Określmy to w ten sposób, sir. Czy dany obszar jest użyteczny, często zależy od tego, jak bardzo jest on potrzebny. Na przykład wielki kawał ziemi porośniętej lasem, mógłby być ignorowany przez całe stulecia, przez rzadko zaludnioną cywilizację rolniczą, mającą mnóstwo otwartych równin do uprawy. W późniejszym okresie, narastające ciśnienie populacyjne mogłoby uczynić opłacalnym i sensownym oczyszczenie tego ogromnego terenu z pni drzew, głazów i tego rodzaju problemów.

— A tu, na Edenie?

— No cóż, sir, w chwili obecnej liczba ludności na Edenie wynosi około sto tysięcy. Żyzne równiny dziczeją, porastając zielskiem, ponieważ ta ziemia jest niepotrzebna. To jest… hmm…

— To jest, co?

— Może nie powinienem mówić, „dziczeją, porastając zielskiem”, sir. Pomimo wszystko, one są przydatne. Mówiono mi, że powietrze śmierdziało znacznie bardziej, kiedy ludzie przybyli tu po raz pierwszy.

Dowódca pociągnął nosem i stwierdził:

— Śmierdzi całkiem solidnie, nawet teraz.

— Po paru miesiącach przestaje się to zauważać — odparł Reed.

— Nie mam zamiaru zostawać tu aż tak długo — szorstko oznajmił dowódca. — Wróćmy do pańskiego zrozumienia całości obrazu. — Komandor Breckenridge odchylił się do tyłu na swoim krześle i powiedział: — Bez wątpienia stykał się pan z historią początków Ameryki Północnej. Proszę sobie przypomnieć, że w rasie ludzkiej widoczne było wtedy silne parcie na zdobywanie nowych ziem, które miało miejsce niemal od czasu odkrycia Ameryki Północnej, aż do wczesnych faz tak zwanej „Rewolucji Przemysłowej" – to jest do początku epoki elektro-mechanicznej. Czy mam rację?

— Tak jest, sir.

— A teraz, młody człowieku, co się stało z tym silnym parciem na nowe tereny? Jak to się stało, że zanikło ono w rasie ludzkiej? Gdzie się ono podziało, i dlaczego? Czemu na Ziemi w warunkach tłoku żyje sześć miliardów ludzi, podczas gdy tu, na Edenie zaledwie sto tysięcy ludzi zajmuje – zgodnie z pańskim oszacowaniem – około dwadzieścia milionów mil kwadratowych? Dlaczego te tłoczące się na Ziemi miliony nie dopominają się z wrzaskiem o całą tę wolną przestrzeń?

— Może dlatego, że podróż kosmiczna jest taka droga.

— To tylko kwestia pieniędzy. To jasne, że wykupienie przelotu mogłoby pochłonąć praktycznie wszystko, co człowiek posiada. A ja pana pytam, ilu mężczyzn wraz z rodzinami poświęciło wszystko co mieli, pakując ze sobą tylko kilka najcenniejszych rzeczy do wozu Conestoga i wyruszając na Zachód?

— Nie mam możliwości tego ocenić, sir.

— Nie, oczywiście że nie. Ja panu powiem co się stało. W tych chwalebnych czasach początków Ameryki Północnej, ludzie parli z mozołem ze wschodu na zachód, żeby wyszarpać sobie lepsze życie. Od początku świata luksus i przyjemności należały do posiadających ziemię baronów. Ponieważ bogactwo wiązało się z posiadanym areałem, każdy człowiek, który mógł wytyczyć swój dział ziemi, zgłaszał roszczenia do bogactwa. A przede wszystkim była to kwestia znalezienia wolnej ziemi.

Dowódca nachylił się do przodu, żeby podkreślić swoje słowa.

— Potem przyszła rewolucja przemysłowa i epoka automatyzacji. Niewolnictwo przemysłowe skończyło się w szczęku przekładni. Pańscy prości ludzie już nie umierali z głodu, ani nie harowali przez dwanaście godzin na dobę. Najlepsze samochody, jakie mogli sobie kupić bogaci, były tylko dwa-trzy razy droższe niż te którymi jeździł przeciętny robotnik. Dlatego idea pozyskiwania nowej ziemi uprawnej jako środka do zdobycia bogactwa robiła się coraz mniej pożądana. Automatyzacja zniszczyła farmy. Baron lenny zmienił się w wybieranego urzędnika, prezesującego korporacji akcyjnej.

— Dzisiaj — podsumował komandor — człowiek zostawiający dom aby migrować, nie pozostawia za sobą biedy i smutku w nadziei znalezienia czegoś lepszego. Pozostawia luksus, cywilizację, przyjemności. Dla czego? Dla przywileju walki o czystą egzystencję. Czy teraz, panie Reed, zaczyna pan już rozumieć?

— Myślę, że tak, sir.

— To dobrze. Czy więc zaczyna pan rewidować swoją opinię co do wagi problemu rozszerzenia zasięgu lotów naszych statków kosmicznych?

Reed zamrugał oczyma.

— Sir?

— Proszę być rozsądnym, młody człowieku. Kolonia to marnowanie wysiłków, chyba że stanie się nawet bardziej niż samowystarczalna. Dopóki Eden nie osiągnie takiej liczby ludności, żeby mógł utrzymać swoją własną wysoko rozwiniętą cywilizację, stanowi on propozycję nierozsądną ekonomicznie. — Komandor popatrzył gniewnie na młodego astronautę. — Czy muszę to aż tak dosłownie tłumaczyć? Wszystkie wysiłki muszą zostać skierowane na podniesienie poziomu cywilizacyjnego Edenu. To oznacza zwiększenie liczby ludności, panie Reed, aż do poziomu na tyle wysokiego, by opłacało się płacić za uprzemysłowienie. Kiedy miasta na Edenie będą oferować możliwości cywilizacyjne takie jak miasta na Ziemi, wtedy będziemy mieli migrację na poziomie społecznym, a nie malkontentów, gburowatych indywidualistów i drobnych przestępców, którym dano wybór: migracja albo areszt.

— Czy teraz, panie Reed, rozumie pan do czego zmierzam? Dużo mądrzej byłoby, gdyby spędzał pan swój czas na wspomaganiu funkcjonowania Edenu, a nie próbując wymyślić sposoby i środki dostania się do bardziej odległych gwiazd i znalezienia innych daleko położonych planet – na które ludzka rasa i tak nie będzie mogła wyemigrować.

— Ale, sir…

— Panie Reed, rozpoznaję w panu tego godnego podziwu ducha przygody. Ale musimy pamiętać, że ten sam duch skłonił kiedyś ludzi do lądowania na ziemskim księżycu przy użyciu wielostopniowych rakiet chemicznych, nie wystarczył on jednak do utworzenia tam opłacalnej kolonii. A teraz, co do tego pańskiego projektu. Powiedział pan, że nie udało się panu jeszcze znaleźć błędu w Szaleństwie Hansena?

— Nie, sir, ale…

— Panie Reed, zdaje pan sobie sprawę z tego, że pozostanie pan na Edenie, dopóki pan tego nie zrobi?

— Tak, sir, ale…

— A im dłużej to trwa, tym więcej drwin będzie kierowanych w stronę pańską, moją i całego Biura Operacji?

— Ale, sir…

— Panie Reed, chciałbym również powiedzieć, że dopóki pańskie zadanie nie zostanie zakończone, nie będzie również awansu.

— Jestem tego świadom, sir, ale…

— Ale co, panie Reed?

Reed spytał:

— Sir, czy mogę coś powiedzieć nie powiększając pańskiej irytacji?

— Jeśli ma pan coś do powiedzenia, to proszę bardzo. Nie mogę obiecać, że mnie to nie zirytuje, zanim nie usłyszę o co chodzi.

— Dziękuję, sir. Próbując rozwiązać problem Szaleństwa Hansena, przeprowadziłem kilka eksperymentów fizycznych i wykonałem parę pomiarów, ponieważ nie mogłem znaleźć żadnego błędu w argumentacji matematycznej na abstrakcyjnym poziomie. Jak pan wie, jednym ze sposobów na stwierdzenie dlaczego jakaś teoria nie działa, jest próba jej zastosowania w praktyce. Nie jest to zazwyczaj sposób najprostszy koncepcyjnie, ani najłatwiejszy w realizacji, ale często jest to sposób jedyny.

— Tak, proszę dalej. Co się stało?

— Sir, moje urządzenia działają. Na tyle, na ile jestem w stanie to stwierdzić, nie ma żadnego błędu! Miałem rację!

— Komandor Briggs z Naukowo-Badawczego…

— Sir, to musi być jakaś pomyłka.

— Cisza! Jeszcze nie skończyłem! Komandor Briggs zdaje się wiedzieć więcej o moich ludziach, niż ja.

— Sir?

— Przede wszystkim, założył się ze mną o obiad w Klubie Oficerskim, że nie znajdzie pan błędu w Szaleństwie Hansena do czasu mojego wyjazdu w tę podróż inspekcyjną. Zdając sobie sprawę, że pańskim głównym celem, będzie pewnie jak najszybsze opuszczenie Edenu, rzuciłem się na ten zakład jak wygłodniały pies na kawał soczystego steku. Gdyby okazało się, że przegrałem, kosztowałoby mnie to tylko ten jeden obiad. Ale, panie Reed, kiedy przyjąłem ten zakład, komandor Briggs uzupełnił go zakładem o obiad dla całego Biura Naukowo-Badawczego, że po tym, kiedy nie znajdzie pan błędu przy pomocy analizy naukowej, zapuści się pan w eksperymenty sprzętowe. Dobrze wiedząc, że nie ośmieliłby się pan marnować materiałów Służby dla celów osobistego majsterkowania, przyjąłem również i ten zakład. Wtedy, jakby tego wszystkiego było mało, Briggs dorzucił zakład o szampana i kwiaty dla żon oficerów, że kiedy skończy pan budowę swojego sprzętu i nadal nie znajdzie pan błędu, to po moim przybyciu będzie pan święcie przekonany, iż udowodnił pan swoje zdanie w teorii i w praktyce, i dlatego oznajmi pan, że to pan ma rację, a cała reszta znanego wszechświata jest w błędzie.

Komandor wziął głęboki oddech, a następnie zaklął łagodnie, ale z uczuciem. Potem zaczął mówić dalej:

— I w ten sposób, panie Reed, zostanę „Oślim Gościem” w Klubie Oficerskim. Zgodnie ze zwyczajem otrzymam na talerzu pieczoną syntetyczną fasolę, podczas gdy inni równi mi stopniem oficerowie, wraz ze swymi żonami, wezmą udział w wyszukanym bankiecie z naturalną żywnością.

— Sir, bardzo mi przykro.

— To, że panu jest przykro, to nie wystarczy! — Komandor pogrzebał w swojej aktówce, aż w końcu znalazł teczkę z dokumentami, którą przez kilka minut drobiazgowo przeglądał, tak jakby upewniając się co do jakiejś starannie przemyślanej opinii. W końcu na marginesie jednej ze stron, lekko naniósł ołówkiem notatkę, i oznajmił: — Lalande 25372!

Młodszy astronauta Howard Reed złapał oddech i wyrzucił z siebie:

— Flatbush, sir?

Komandor Breckenridge szorstko skinął głową.

— Obejmie pan obwodową stację wykrywającą obce pojazdy kosmiczne oraz radiolatarnię astrogacyjną namiaru odległości i kierunku, zlokalizowane na Flatbush, w układzie Lalande 25372. I pozostanie pan tam aż do czasu kiedy w pełni rozwiąże pan problem Szaleństwa Hansena. Czy pan zrozumiał?

Młodszy astronauta Howard Reed skinął głową z nieszczęśliwą miną.

Lalande 25372 było w pobliżu granicy maksymalnego zasięgu siedemnastu lat świetlnych. Wszelką radość ze świadomości, że aby mógł się tam dostać, powierzony mu zostanie jeden z najlepszych, najsprawniejszych niewielkich pojazdów kosmicznych, niweczyła wiedza, że kiedy statek już się tam znajdzie, będzie musiał pozostać bezczynny, czekając na lot powrotny, ponieważ nie będzie miał energii na żadne podróże po okolicy. Przy zasilaniu subatomowym nie można zabrać zapasowej bańki paliwa, do wykorzystania w nagłych przypadkach.

VI

Pani Hanford otworzyła drzwi i ujrzała w nich Specjalistę Rossa. Zapraszając go do środka, uśmiechnęła się do niego niepewnie. W salonie, w obecności pana Hanforda genetyk rozejrzał się ostrożnie, z pytającą miną. Hanford wyjaśnił:

— Glorii nie ma. Wyszła.

— A więc mogę mówić otwarcie.

— Oczywiście. Czyżby jakieś kłopoty… znowu?

— Szczerze mówiąc, nie jestem pewien — powoli odparł naukowiec. — Gdybym otrzymał trochę więcej informacji, bardzo by mi to pomogło.

— Oczywiście, pomożemy! — zawołała pani Hanford. — Co pana trapi?

— Jak państwa córce wiedzie się z Bertramem Harrisonem?

— No cóż, wydaje mi się, że zachowują się mniej więcej tak samo, jak wszystkie inne pary zamierzające się pobrać. Przecież po to właśnie jest okres narzeczeństwa, czyż nie? To znaczy, chodziło mi o to, że tak było zawsze w historii.

— Tak, ma pani rację — skinął głową Ross. — Czy wynajęli normalne mieszkanie przed-małżeńskie?

— O, tak. Zostali zupełnie konwencjonalnymi młodymi zakochanymi, Specjalisto Ross.

Człowiek z Departamentu Spokoju Domowego uśmiechnął się.

— A państwo, oczywiście, zostali zupełnie konwencjonalnymi rodzicami przyszłej panny młodej?

— Oczywiście. Byliśmy tak zadowoleni, że ledwie mogliśmy doczekać się wizyty w święto Trzech Króli.

— I w czasie tej wizyty, spotkania w mieszkaniu miały właściwy charakter?

— Ależ, Specjalisto Ross!

— Nie, nie, pani Hanford, źle mnie pani zrozumiała. Nie chodziło mi o kwestie moralne. Naprawdę chciałem tylko zapytać, czy Gloria i Bertram, właściwie kontynuowali swoje terapie?

Pan Hanford chrząknął.

— Jako rodzice przyszłej panny młodej — oznajmił, — płacimy za to!

Pani Hanford zarumieniła się.

— Ja… przyjrzałam się temu trochę — powiedziała.

Ross popatrzył na panią Hanford, z wyrazem twarzy wskazującym na to, że przyglądanie się, było całkowicie akceptowalną formą społecznego zachowania.

— I czego się pani dowiedziała?

— Wszystko było w zupełnym porządku. — Potem jednak wyglądała niepewnie i przygryzła dolną wargę. — Specjalisto Ross, nie jestem autorytetem w tych sprawach. W łazience Glorii były butelki z pastylkami wyglądającymi podobnie do tych, które pan przepisał, a kiedy włączyłam głośnik w jej sypialni, brzmiało to tak samo jak muzyka, którą słyszałam w jej sypialni, kiedy mieszkała w domu. Prawdę mówiąc, bardzo mnie ona przygnębia.

— A Bertram?

— Wiem znacznie mniej o jego lekarstwach. Ale posłuchałam także muzyki przeznaczonej dla niego. Pozwoliła mi ona otrząsnąć się z uczucia depresji, której nabawiłam się po materiale z programu Glorii.

— Dokładnie tak powinno być. To brzmi sensownie.

Ponownie się zarumieniła i popatrzyła na męża.

— Tylko jedna sprawa — powiedziała bardzo powoli.

— O co chodzi?

— Ja… nie za bardzo wiem jak to powiedzieć. Widzi pan, kiedy Gerald i ja się zaręczyliśmy, żadne z nas nie przechodziło jakiejkolwiek terapii korekcyjnej, tak więc nie wiem jak te sprawy powinny wyglądać.

— Do czego pani zmierza?

— Widzi pan, Specjalisto Ross, skoro żadne z nas nie przechodziło terapii korekcyjnej, nie miało znaczenia, której z sypialni używaliśmy.

Ross zastanawiał się przez chwilę, a później skinął głową.

— Oczywiście — powiedział z wrażeniem pełnego przekonania. — To jest to!

— Co jest co? — spytał pan Hanford.

— Cała ta sytuacja drogą zwykłej redukcji sprowadza się po prostu do prawa najbardziej aktywnej reakcji — stwierdził. — Mamy tu jedną osobowość, która dla doprowadzenia do normalności wymaga środowiska stymulacji, i drugą osobowość, wymagającą dla normalności atmosfery uspokojenia. Jeśli umieścimy je razem w środowisku uspokajającym, to on zapadnie głębiej w swój letarg, prawdopodobnie spadając do poziomu kompletnego fizycznego i intelektualnego odrętwienia. Jeśli umieścimy ich oboje w atmosferze stymulacji, to on stanie się normalny, podczas gdy ona wpadnie w nastrój zmysłowego podniecenia. To wszystko wyjaśnia.

— Wyjaśnia, co?

— Jej ostatnie zachowanie. Czy też raczej jej eskapadę.

Żadne z nich nie słyszało lekkiego kliknięcia zamka w drzwiach frontowych.

— Eskapadę? — wykrzyknęła pani Hanford.

— Nie wiedzieliśmy, że ma jakieś kłopoty — powiedział pan Hanford.

— I to właśnie jest sedno sprawy — stwierdził Ross. — Państwa córka ma irytujący nawyk pozwalania sobie na oburzające zachowania, pod pozorem wspaniałych dokonań intelektualnych.

— Naprawdę, bardzo panu dziękuję! — oznajmiła Gloria Hanford.

Wykonała przed naukowcem głęboki dyg, pokazując kilka cali smukłej kostki.

— Gloria! — zaczęła się dopytywać jej matka. — Co ty znowu wymyśliłaś?

Gloria Hanford uśmiechnęła się do matki z elfim wdziękiem, podszytym wyniosłością.

— Jestem oficjalną narzeczoną Bertrama Harrisona — oświadczyła łagodnie. — Dlatego moje zachowanie, niezależnie – dobre, złe, czy obojętne, nie jest już problemem moich rodziców.

Jej ojciec wtrącił:

— Posłuchaj, Golorio. Tak się składa, że mam na tyle duże doświadczenie zarówno pod względem fizycznym, jak i intelektualnym, aby móc narzucić swoje zdanie zarówno tobie, jak i twemu przyszłemu mężowi. Proszę więc, abyś odpowiedziała swojej matce.

— Ale przecież — cicho odparła Gloria, — nie zrobiłam niczego złego.

Pan Hanford poprosił Rossa:

— A jak to wygląda z pańskiej strony?

Ross wyjaśnił:

— W zeszłym tygodniu Klub Młodzieżowy w Westchester zorganizował bal kostiumowy. Młode panie uczestniczyły w nim ubrane w stroje wzorowane na autentycznej modzie z jakiegoś okresu w przeszłości, a za najbardziej nowatorski a przy tym kompletnie autentyczny kostium, wyznaczona została nagroda.

— I — podpowiedziała Gloria z uśmiechem na ustach, — wygrałam ja!

— Państwa córka wygrała, ponieważ ma wyjątkowy talent do popełniania najbardziej wstrząsających wyczynów pod płaszczykiem dokonań intelektualnych.

— Proszę mówić dalej, Specjalisto Ross. Co zrobiła Gloria?

Naukowiec uśmiechnął się cierpko.

— Styl i moda przestały mieć logiczne podstawy, kiedy ubrania zaczęły być projektowane w celu subtelnej prowokacji, zamiast jako ochrona przeciwko wpływom środowiska — stwierdził. — Żyjemy w społeczeństwie dwupłciowym. Zachęcamy do wspólnego pływania i opalania się nago – a jednak po godzinie piątej, pokazanie czegoś więcej niż goła twarz i dłonie, uważane jest za szokujące.

— A więc, żeby połączyć maksymalnie szokujące efekty z przykrywką całkowitego autentyzmu, panna Hanford przebadała wszystkie style i mody, aż znalazła krótki okres zaledwie paru miesięcy w dwudziestym wieku. Jej strój miał formę mocno pofałdowanej obszernej spódnicy z półprzezroczystego materiału, która udrapowana była we wdzięczne zwoje od piersi do połowy łydki. Powyżej piersi była kompletnie naga! Aby udowodnić swoją rację, przedstawiła stereogramy z modą z tego okresu, z magazynów dla pań.

Gloria zachichotała.

— Miałam prawo wyszukiwać stroje, aż do czasów Starego Testamentu — zauważyła.

Ross pokręcił głową.

— Tak jak powiedziałem, jej szokującemu zachowaniu nie można niczego zarzucić. Potrafi je usprawiedliwić, jako zgodne z regułami.

Pan Hanford pokręcił głową i spytał:

— Glorio, a co o tym wszystkim myśli Bertram?

— Bertram niósł stereogramy z modą — odparła Gloria. — W moim stroju nie było kieszeni.

Nagle Specjalista Ross zapytał:

— Panno Hanford, jak pani i Bertramowi układa się razem?

— Tak, jak można było tego oczekiwać.

— Co pani przez to rozumie?

— Rozumiem to, że każde z nas żyje swoim własnym życiem. Berty lubi tę swoją siedzącą, ospałą egzystencję. Prawdę mówiąc, to wolałby zmienić się w jeszcze większe warzywo, niż jest. Zaczęło się od przyjmowania moich pigułek, ale to było jeszcze do zniesienia, jak mi się wydaje. Jednak kiedy zaczął sypiać w mojej sypialni, tak by sobie podrzemać pod działaniem uspokajających programów muzycznych, które mi pan przepisał, to było już za dużo!

Ross wyglądał na autentycznie zdumionego.

— A więc? — dopytywał się.

— Co znaczy „a więc”? Jak jakkolwiek gorącokrwista kobieta mogłaby to wytrzymać? Naturalnie, przeprowadziłam się do jego sypialni.

— A potem zaczęła pani stosować jego kurację? — szorstko spytał Ross.

— Oczywiście!

— O, mój Boże! — wybuchnął Ross. Zmierzył uważnie Glorię wzrokiem. — Jak pani się udało na tyle długo utrzymać Bertrama przy świadomości, żeby pomagał pani przy sprawach takich jak z tym kostiumem? — spytał.

— No cóż — odparła z uśmiechem, — naprawdę jestem wystarczająco silna, by w uchwycie strażackim wrzucić sobie na ramię sto osiemdziesiąt pięć funtów luźnej kiełbachy i zatargać to bezwładne cielsko z powrotem do jego sypialni, tak by jego własna muzyka pobudziła go na tyle mocno, żeby mógł sięgnąć po stojące koło łóżka butelki z lekarstwami. Natura potem przejmuje pałeczkę, aż się ocknie. Później już robi to, co mu każę – ponieważ wie, że jeśli nie będzie chciał, to ja nie pozwolę mu zapaść się w tą jego kompletną inercję. To bardzo proste. Oczywiście, nie jest to w ogóle zabawne.

Specjalista Ross powiedział:

— Glorio, czy ma pani zamiar kontynuować tego rodzaju egocentryczne, sztuczne życie, kiedy pani i Bertram się pobierzecie?

— Nie poświęcałam specjalnie wiele uwagi przyszłości.

— Tak jak zawsze — stwierdził z nieszczęśliwą miną Ross. — To ogromna część pani problemu.

— Co więc niby powinnam zrobić? Czy pan naprawdę się spodziewa, że wyjdę za to warzywo? Wie pan przecież, że ja też mam swoje życie. Możecie sobie prowadzić ten wasz program genetyczny, aby wyhodować całą masę normalnych dzieci, ale ta sama Księga Praw gwarantuje mi prawo do poszukiwania swojej własnej drogi do szczęścia.

— Zgadza się…

— No cóż, panie Specjalisto, mogę panu powiedzieć, że moim ideałem szczęścia nie jest mąż, który lezie do mej sypialni jak somnambulik, ledwie zdolny do pokonania pokoju, zanim zwali się jak na wpół wypełniony wór piachu.

— Pani zaś potrzebuje — mocno dodał Ross, — mężczyzny, który będzie na tyle silny, aby mówić pani, co pani powinna zrobić.

— I gdzie ma pan zamiar takiego mi znaleźć?

Ross odwrócił się od Glorii ku jej rodzicom.

— Widać niestety — przyznał z żalem, — że to proponowane małżeństwo między państwa córką i Bertramem Harrisonem, nie zmierza ku szczęśliwemu związkowi.

— A pan się tego spodziewał? — spytała Gloria.

— Miałem takie nadzieje. Mogę tylko proponować kierunki postępowania. Gdyby pani zechciała trzymać się przepisanego programu terapii korekcyjnej, i w ten sposób stała się stabilną emocjonalnie kobietą, na normalnym poziomie aktywności, wtedy to małżeństwo mogłoby naprawdę przynieść bardzo dobre skutki.

— Czyli, oczywiście, to moja wina?

— Tak. Oczywiście. Decyzja należała do pani.

— A co z tą kupą słoniny, którą zwalił mi pan na głowę?

— To, że Bertram Harrison chciał uciec w całkowity letarg, oczywiście, to była jego decyzja. Ale ten fakt również jest tylko innym aspektem przypadku o którym mówimy. To silniejsza osobowość wytycza drogę. Ta słabsza za nią podąża.

— Rozumiem — zaszydziła Gloria. — To wszystko, moja wina!
— Oczywiście, że tak — rzucił ostro Ross. — Gdyby pani chciała zmienić siebie, to chciałaby pani także zmienić Bertrama, ponieważ to pani ma silniejszą osobowość.
— A więc, jaki teraz następny ruch? Czy będę musiała spróbować kolejnego ciamajdy?
— Raczej nie. Zrobiłaby pani to samo każdemu z nich.
— No to, co ze mną będzie? Czy zostanę wysłana na Eden, jako niezdolna do poprawy?
Specjalista Ross milczał.

Pan Hanford powiedział:
— Z pewnością musi być jakiś inny sposób?
Pani Hanford dodała:
— Czy muszę stracić swoją córkę?
Specjalista Ross odparł z żalem:
— Istnieje, oczywiście, inny sposób, ale on również wiąże się z utratą przez panią córki, pani Hanford.
Pan Hanford zapytał:
— A na czym polega to inne podejście, Specjalisto Ross?
— Nazywane jest ono re-orientacją.
— Pranie mózgu! — wykrzyknęła Gloria.
— To nieprecyzyjne, potoczne określenie.
Pani Hanford zaczęła się dopytywać:
— Jak działa ta re-orientacja?
Chłodno, jakby dyskutując naprawę jakiejś martwej rzeczy, Ross wyjaśnił:
— Rozpoczyna się ona od korekcyjnych operacji gruczołów przysadki i tarczycy. Następnie przeprowadza się pewne bardzo skomplikowane zabiegi neurochirurgiczne, nieco przypominające prymitywny proces, kiedyś nazywany „lobotomią płata czołowego”. Obecnie otrzymuje się pożądane efekty, bez wiążących się z nim wszystkich szkodliwych efektów ubocznych. Potem, kiedy pacjent jest kompletnie zdezorientowany, ma miejsce proces re-edukacji. Pacjent jest ekstremalnie łagodny i wysoce bezkrytyczny. Wszystkie podejmowane przez niego decyzje mają taką samą wagę…
— Jak pan to rozumie? — spytał pan Hanford.
— No cóż, decyzja o użyciu niebieskiego lub czarnego atramentu w wiecznym piórze, staje się równie ważna, co decyzja czy pozostać w uszkodzonym samochodzie powietrznym czy z niego wyskoczyć.
— Och. A potem?
— Ponieważ pacjent jest łagodny i bezkrytyczny, możemy przemodelować jego sposób oceny ludzi, miejsc i wydarzeń, na bardzo ugodowy. Wydarzenia z jego przeszłego życia nie ulegają zatarciu, ale widziane są one tak, jakby pacjent oglądał przedstawienie trivideo, a nie osobiście w nich uczestniczył. Cała lista jego przyjaciół i znajomych

kompletnie się zmienia, ponieważ osobowość pacjenta jest tak zupełnie inna, że dawni przyjaciele nie mają już nic wspólnego z pacjentem. To będzie — tłumaczył Ross — dokładnie tak, jakby państwa córka was opuściła, aby nigdy nie wrócić, a za rok zostanie państwu przedstawiona obca kobieta, która jest do córki bardzo podobna. Do której — dodał jeszcze — w końcu państwo się emocjonalnie przywiążą, z powodu pamięci o córce.

— To brzmi dosyć drastycznie.

— Nie mam zamiaru państwa oszukiwać. To jest naprawdę drastyczne.

— Nie podoba mi się to — ostro rzuciła Gloria.

— Tak — poparła ją pani Hanford. — Jaka jest alternatywa?

— Eden, układ Tau Ceti. Zaaranżuję przelot zgodnie z aktem o migracji, z dozwolonym limitem ciężaru dwieście funtów brutto. — Ross uśmiechnął się niewyraźnie. — Może pani zrzucić parę funtów wagi i w ten sposób zwiększyć dozwoloną wagę netto bagażu — powiedział. — Ale z drugiej strony, jeśli pani wychudnie jak szczapa, nikt na panią nie postawi.

Gloria dopytywała się wojowniczo:

— A co, stanę się nagrodą na loterii?

— Przecież to jest nie lepsze niż niewolnictwo seksualne! — zawołała jej matka.

— Och, proszę dać spokój! — powiedział Ross. — Panna Hanford zdobędzie dom i ciężko pracującego męża, na wspaniałej nowej planecie o nieograniczonych możliwościach.

Gloria Hanford parsknęła.

— Termin „nieograniczone możliwości" jest po prostu optymistycznym sposobem opisu sytuacji, którą pesymista określiłby jako „brak nowoczesnych wygód".

— No cóż, panno Hanford, ma pani wybór. Jednej z trzech możliwości. Terapia korekcyjna i małżeństwo z Bertramem Harrisonem, całkowita re-orientacja, albo migracja na Eden. Nie proszę pani o decyzję w tej chwili. Proszę dać mi odpowiedź w ciągu trzydziestu dni.

— Nie może pan mnie zmusić!

— Nie. Nie mogę. Mogę tylko wskazać pani trzy ścieżki drogi w przyszłość – a potem dodać, że mam środki do tego, aby uczynić pani życie tak bardzo niewygodnym, że nie będzie miała pani innego wyjścia, jak tylko wybrać jedną z trzech pożądanych możliwości. Pożądanych, jak muszę przyznać, oznacza, że są one najkorzystniejsze dla zachowania spokoju domowego!

VII

Lalande 25372 jest gwiazdą typu widmowego M, słabym czerwonym karłem, niewidocznym gołym okiem z Ziemi. Lalande 25372 położone jest o piętnaście i dziewięć dziesiątych roku świetlnego od Słońca, mniej więcej piętnaście stopni na północ od równika niebieskiego i niemalże

naprzeciwko punktu równonocy wiosennej. Gwiazda posiada planety, ale nie czynią one z Lalande 25372 czegoś wyjątkowego. Podobnie jak w przypadku większości planet, znalezionych w kosmosie, nawet pies z kulawą nogą nie chciałby mieć z nimi nic wspólnego – przynajmniej z własnej woli. Przydają się one tylko dla tych nieszczęśników, których niebacznie postawiona stopa pechowo wylądowała na czułym palcu jakiegoś oficjela.

Planeta Flatbush, w układzie Lalande 25372, otrzymała swoją nazwę od niejasnego średniowiecznego odniesienia do formy kary znanej jako „Szlifowanie bruków w Flatbush"[1], jeśli można wierzyć autorytatywnemu dziełu MacClellanda „The Origin of Place Names".

Obserwowana przez wielopanelowe okno Stacji, Flatbush wyglądała na całkiem przyjemną planetę, pod warunkiem, że zignorowało się fakt, iż od Budynku Stacji aż po sam horyzont nigdzie nie było oznak, ani nawet śladów, roślinności. Kilkaset jardów od budynku, widać było sympatycznie wyglądające jezioro. W jeziorze faktycznie była woda, ale zawierała ona rozpuszczone związki chemiczne, które otrułyby nawet boojum snarka[2]. Powierzchnię jeziora marszczył ciepły wiatr Flatbush, tyle że nie da się na nim podnieść nawet jarda kwadratowego żagla, dopóki wcześniej ktoś nie skonstruuje maski gazowej, która odfiltruje bezbarwne gazy, powodujące że nawet srebro czerniało. Po niebie płynęły kłębiaste chmury, ale padało z nich paskudztwo, przeżerające nawet stal.

Stamtąd właśnie, w kosmosie, w pobliżu perymetru pięciparsekowego zasięgu działania ludzkości, subelekromagnetyczne wiązki detektorów przeczesywały niebo. Przyjmując najbardziej pesymistyczny punkt widzenia – najmniej nawet prawdopodobną kombinację nieskończonej różnorodności warunków środowiskowych stworzonych przez Przyrodę – pomysłowość natury w tworzeniu istot żywych, ciągle dopuszczała, że gdzieś w kosmosie, również jakaś inna rasa przemierza międzygwiezdne szlaki.

I pewne było, że pewnego dnia ta hipotetyczna rasa zetknie się z ludzkością.

Kiedy coś takiego będzie miało miejsce, obowiązkiem Biura Operacji będzie wykrycie kosmitów, ich przechwycenie i ostrzeżenie ludzi na Ziemi, że ludzkość nie jest już samotna. Fakt, że subelektromagnetyczne wiązki detektorów przeczesywały kosmos już od dwustu lat, nie wykrywając niczego, nie miała wpływu na przyszłość. Wiązki będą utrzymywane tak długo, jak długo rasa ludzka będzie istniała w kosmosie.

Oprócz wiązek detektorów, na tych odległych planetach znajdowały się również radiolatarnie astrogacyjne. Były to subelektromagnetyczne latarnie morskie, jak można je określić, które wysyłały w kosmos, znane sekwencje sygnałów kierunkowych i odległościowych. Kiedyś, ludzkość

[1] Nieprzetłumaczalna gra słów. W oryginale „Walking a beat in Flatbush", określenie używane czasami w kontekście karnego odesłania policjanta do służby patrolowej w jakimś bardzo nieprzyjemnym i/lub zabitym dechami miejscu (przyp. tłum.).
[2] Snark – (w tłumaczeniu R. Stillera – żmirłacz), fikcyjny gatunek zwierzęcia z absurdalnego poematu Lewisa Carrolla „The Hunting of the Snark". W dodatku niektóre snarki (te wyjątkowo niebezpieczne, jak się można domyślić) wg autora są boojum (bubołakami – R. Stiller). (przyp. tłum.).

miała nadzieję wypełnić szlaki w przestrzeni statkami kosmicznymi, a planety powiązać międzygwiezdną wymianą handlową.

Pewnego dnia, być może, jakaś kolejna „Mary Celeste" podążać będzie swym kursem, mimo że jej załoga zniknęła w niewytłumaczalny sposób. Ale jeśli kiedykolwiek wydarzy się coś podobnego, to nie może dojść do sytuacji, w której Służba Kosmiczna nie będzie wiedziała precyzyjnie, ile i jakie statki kosmiczne znajdowały się w tym obszarze przed, w czasie i zaraz po Dniu-Katastrofy D i Minucie-Tajemniczego-Zniknięcia M.

Cały sprzęt, oczywiście, był zautomatyzowany, nowoczesny i perfekcyjny, posiadał wiele równolegle działających, nadmiarowych kanałów, które mogły zostać wykorzystane w przypadku awarii podzespołów. Jego współczynnik niezawodności, wynosił dużo powyżej sześciu lub siedmiu dziewiątych doskonałości. Ale przyznanie się, że taka jakość działania była wystarczająca, mogłoby pozbawić Służbę Kosmiczną wygodnych małych oddziałów więziennych, dla nadmiernie zuchwałych młodych oficerów. Obsadzenie takiej stacji, dawało takiemu młodemu oficerowi mnóstwo czasu na kontemplację popełnionych grzechów i rewizję swojego niewłaściwego sposobu zachowania.

W przypadku młodszego astronauty Howarda Reeda, ten proces obejmował znalezienie błędu, który chronił przed tym, by Szaleństwo Hansena nie stało się Analizą Hansena.

Już od czasów Alexandra Selkirka, romantyczna historia usiana jest postaciami ludzi, którzy zostali rozbitkami, przy czym do dyspozycji pozostały im tylko gołe ręce i mózgi w głowach. I przy ich pomocy udało im się podnieść swoje jaskiniowe środowisko do poziomu nowoczesnych udogodnień technicznych.

Tak samo jak oni – nie będąc w stanie znaleźć pomyłki w Szaleństwie Hansena przy pomocy podejścia teoretycznego, w czasie swojej służby na Ziemi, i podobnie nie mogąc zlokalizować błędu w eksperymentalnym sprzęcie, podczas służby na Edenie – młodszy astronauta Howard Reed zaczął eksperymentować na statku kosmicznym, który stał zaparkowany na wyrzutni startowej dwieście stóp od budynków instalacji bazy. Miał całe mnóstwo sprzętu, na którym mógł pracować. Służba Kosmiczna bardzo dbała o właściwe ekwipowanie stacji na perymetrze.

Ponadto, młodszy astronauta Howard Reed miał naprawdę dużo czasu.

Historia jego życia i przygód w tym miejscu, niewarta jest nawet wzmianki. Nie miał żadnych rozrywek. Pracował. Miesiące mijały, jeden za drugim.

Flatbush i Lalande 25372 były tak daleko, że zaopatrzenia nie dostarczano podczas regularnych podróży inspekcyjnych. Nikt nie nawet próbował nawet zaglądać do młodszego astronauty Howarda Reeda. Prywatne rozmowy na oficjalnych kanałach komunikacyjnych, były surowo zabronione, tak że młody oficer nie miał z nikim nawet kontaktu głosowego. Nikt nie wymyślił sensownych ekonomicznie sposobów transmisji programów rozrywkowych z Ziemi na wiązkach

subelektromagnetycznych, a więc Reed – tak samo jak jego koledzy z innych stacji na perymetrze – nie odbierał z domu ani programów z wiadomościami ani muzyki.

Mógł zakończyć swoją służbę, tylko rozwiązując zagadkę Szaleństwa Hansena, a potem powiadamiając o tym swoich przełożonych, przez oficjalne kanały komunikacyjne – albo umieszczając notatkę w pojawiającym się raz do roku automatycznym statku dostawczym, który przylatywał wyładowany taką ilością ziemskich zasobów środowiskowych, żeby utrzymać młodego wygnańca przy życiu przez kolejny rok.

Całe otoczenie krańcowo sprzyjało poświęceniu się pracy. Miał dużo czasu i sprzętu; rozkazy jakie otrzymał nakazywały mu pozostanie tutaj, dopóki nie znajdzie sposobu rozwiązania swojego problemu.

Nie mając niczego innego do roboty, młodszy astronauta Howard Reed zagłębił się właśnie w swoje badania… kiedy po subelektromagnetycznym sygnale radiolatarni przyleciał automatyczny statek kosmiczny i wylądował kilkanaście jardów od niego.

Statek miał rozmiary standardowego pojazdu kosmicznego i jego pozbawiony załogi kadłub wyładowany był po brzegi niezbędnymi do przeżycia zasobami, które miały mu wystarczyć na rok.

Była to pierwsza jednostka tego typu, jaką kiedykolwiek widział na oczy. Był to również pierwszy raz, kiedy młodszy astronauta Howard Reed, musiał stawić czoła problemowi dostawy zapasów. W tym statku samosterującym było wystarczająco wiele zasobów z Ziemi, by umożliwić przeżycie człowiekowi przez rok. W środku było wszystko co straciło przydatność, co zostało zużyte, jak również uzupełnienia dla utraconej części materiałów odzyskiwanych. Wszystko było odwodnione i po usunięciu każdego niepotrzebnego elementu głęboko zamrożone, a następnie skompresowane w kostki o identycznych rozmiarach, aby jak najlepiej wykorzystać przestrzeń ładunkową. Dzięki temu, była to cudowna ilość rzeczy. Dostawa w cyklu raz na rok, byłaby niemożliwa, gdyby trująca woda na Flatbush, nie mogła być łatwo oczyszczona w procesie destylacji.

Młodszy astronauta popatrzył na przybyły statek dostawczy z nagłym wybuchem dumy z osiągnięć rasy ludzkiej. Przy zaprogramowanym z góry locie wzdłuż sygnałów telemetrycznych radiolatarni, znajdujących się na obu krańcach trasy, urządzenie wykorzystywane do pilotowania pojazdu zajmowało znacznie mniej miejsca, zarówno pod względem masy jak i rozmiarów, niż człowiek i potrzebne dla niego zasoby. Jeżeli nie było potrzeby podejmowania decyzji odnośnie celu lotu, pilot automatyczny był równie dobry jak pilot-człowiek – a był dalece mniej podatny na bóle głowy, gniew, rozczarowanie z powodu nieotrzymania przepustki na sobotnią noc, czy też oburzenie za pominięcie w kolejce awansów.

Potem jego duma zmieniła się w nagłe, długie zamyślenie.

Zasięg statku kosmicznego obliczany był od punktu startu, do punktu bez powrotu. Nie było sposobu na odnowienie zapasów energii pojazdu poza Ziemią.

Z drugiej strony, oczywiście, możliwe jest, aby statek wystartował i leciał przez cały czas, aż do opróżnienia swoich zbiorników paliwa.

To wydłuża dwukrotnie, zasięg obliczony dla dotarcia do punktu bez powrotu. Statki musiałyby wystartować i lecieć coraz dalej, tak że nigdy więcej już by o nich nie słyszano. Możliwe jest, że któremuś z nich, lub nawet wielu, udałoby się znaleźć planetę podobną do Ziemi poza punktem bez powrotu, ale Ziemianie w domu nie mieliby szans o tym się dowiedzieć, dopóki zasięg nie zostanie wydłużony. Możliwość że taka planeta, sprzyjająca życiu człowieka i dająca w przyszłości nadzieję na stworzenie cywilizacji o wiedzy technicznej pozwalającej na budowę i utrzymanie zdolności do odtworzenia wyposażenia, jest ekstremalnie odległa.

Ponieważ statków przewożących kobiety jest niewiele i latają one rzadko.

A rozwinięcie odpowiedniej wiedzy wymaga okresu czasu dłuższego niż życie ludzkie.

Młodszy astronauta Howard Reed wiedział, że kiedyś, w dwudziestym wieku, przeciętny inżynier mógł trochę pomyśleć, porachować chwilę na palcach i otrzymać całkiem niezłe oszacowanie liczby koni mechanicznych mocy na cal sześcienny, które mogły zostać przechowane przy pomocy sposobów i środków dostępnych w tym stuleciu.

Usunięcie pilota-człowieka i niezbędnych dla niego zasobów, dawało statkom automatycznym całkiem sporo dodatkowego miejsca na ładunek i energię. Ale kiedy popatrzył na stojący przed nim pojazd dostawczy, dla Reeda stało się jasne, że przy tych rozmiarach kadłuba, nie było w nim miejsca na niezbędne zbiorniki energii i dostawę zapasów na cały rok dla jednego człowieka.

Doszedłszy do tego wniosku, młodszy astronauta Howard Reed, rzucił trzymane w rękach narzędzia. Założył swój skafander kosmiczny i pokonał przestrzeń dzielącą go od statku zaopatrzeniowego.

Krytycznym i podejrzliwym okiem zaczął sprawdzać wyposażenie sterujące statkiem.

Miał przed sobą urządzenie, które nie było mu obce. Nie potrzebował więcej niż dwu godzin, żeby bez cienia wątpliwości stwierdzić, że napęd automatycznego statku został zbudowany zgodnie z teorią i wnioskowaniem matematycznym, które jak mu powiedziano, po prostu nie mogą działać!

Ktoś zastosował Szaleństwo Hansena w praktyce!

Zrobił sobie przerwę na kolejną chwilę zastanowienia. Szaleństwo Hansena uznane zostało za porażkę mniej więcej dwieście lat temu, ale co to tak naprawdę znaczyło? Zastanowił się nad swoją historią.

W 1724, Stephen Gray i Granville Wheeler, z dumą obwieścili, że udało im się przesłać prąd elektryczny przewodem, na odległość 682 stóp. Dwieście lat później, cała Ziemia była już opasana siecią kabli telegraficznych, telefonicznych i połączona niewidocznymi więzami fal radiowych.

Około 1904 bracia Wright dokonali pierwszego lotu samolotem silnikowym. Czterdzieści lat później ludzie latali samolotami o rozpiętości skrzydeł większej niż dystans pierwszego lotu Wrightów.

Bariera Einsteina była powszechnie przyjętym dogmatem naukowym przez sto lat; ale on, Howard Reed właśnie stał w pojeździe kosmicznym, który pokonał otchłań między gwiazdami z szybkością, która nie tylko przekraczała prędkość poruszającego się światła – ale przekraczała ją o paręset rzędów wielkości.

A więc? A więc, może oni mieli rację. Być może Szaleństwo Hansena nie może się udać.

Ale urządzenia napędowe tego statku samopilotującego zostały zbudowane zgodnie z analizą przeprowadzoną przez młodszego astronautę Howarda Reeda, i funkcjonowały. Ponadto jedynym dowodem na to, że jego rozważania odpowiadały przedstawionym przez nieszczęsnego Hansena, były pogardliwe słowa komandora Briggsa z Biura Naukowo-Badawczego.

Nie byłby to pierwszy przypadek w historii rasy ludzkiej, kiedy jakiś biurokrata utuczył się na pracy podwładnych, którzy nie tylko że nie cieszyli się należnymi zasługami za ich pracę, ale często uciszeni pozostawali w cieniu, tak by nie mogli wykazać swoich praw do sławy i bogactwa.

Howard Reed wstał i zaklął gniewnie. Nie pozwoli na zesłanie go do ogłupiającej roboty na samotnym posterunku szesnaście lat świetlnych od domu, pozbawionego wszystkich środków komunikacji, poza oficjalnymi.

Miał zamiar wyjaśnić te wszystkie bardzo dziwne sprawy!

Młodszy astronauta Howard Reed nawet nie zawracał sobie głowy powrotem do Stacji. Jej skierowane na zewnątrz detektory od paruset lat przeczesywały głębiny kosmosu, nie wykrywając niczego; jej astrolatarnie wykorzystywane były raz na rok, kiedy przylatywał statek dostawczy. Ponadto, oba rodzaje urządzeń były automatyczne, sterowane przez mechanizmy, ustawione na pomijanie jedynego członka załogi na Stacji poprzez transmisję informacji za pomocą regularnych kanałów. A więc, siedzący w statku młody astronauta, po prostu odłączył zaprogramowanego wcześniej autopilota, zacisnął dłonie na ręcznych sterach i wystartował w stronę odległego Słońca i Ziemi.

VIII

Gloria Hanford otworzyła drzwi do swego mieszkania i dopiero po kilku sekundach zorientowała się, że światło w salonie jest zapalone,

przebiegła wzrokiem grupę nieoczekiwanych gości i w jednej krótkiej chwili oceniła sytuację. Zatrzymała się w miejscu, obróciła na pięcie i przekazała swojemu towarzyszowi:

— Nie dzisiaj, Joseph!

— Ale…

— Mam gości — wyjaśniła, kładąc na płask dłoń na piersi mężczyzny.

— Ale…

— Moi goście oznaczają kłopoty — dokończyła, odpychając go lekko. Jej towarzysz zniknął za drzwiami – wycofując się tyłem i ciągle próbując protestować.

Gloria zamknęła drzwi salonu, ucinając protesty, a następnie odwróciła się i oparła o nie plecami. Stała przed niespodziewanymi gośćmi, sprawiając wrażenie poirytowanej cierpliwości, tak jakby poprzez swoje milczenie zapraszała ich do zadania pierwszego uderzenia, a przy pomocy swego poczucia pewności siebie mogła bez trudu odbić je na bok.

Nie musiała zbyt długo czekać.

Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. Powstała w ten sposób paplanina była zupełnie niezrozumiała, i dźwięk głosów innych zmusił każdego z nich do przerwania, nie kończąc swej kwestii. Ponownie zapadło milczenie, a w powstałej ciszy odezwał się Specjalista Ross:

— W powyższych okolicznościach, panno Hanford, wydaje mi się, że mamy prawo prosić panią o wyjaśnienie swojego zachowania.

Pan Harrison chrząknął:

— Powiedziałbym, że to jest strata czasu. Lepiej miejmy to już za sobą.

Pani Harrison dodała:

— Tak, to prawda, Specjalisto Ross. Jeśli wezwie pan władze, złożymy skargę.

Pani Hanford rzuciła ostro:

— Oburza mnie sugestia, żeby obciążać winą w całości tylko moją córkę.

Pan Hanford zwrócił jej uwagę:

— A mnie się wydaje, że Bertram Harrison nie jest dostatecznie bystry, aby się schować kiedy pada deszcz, a co dopiero żeby wiedzieć co dla niego będzie dobre. A teraz…

Pan Harrison warknął:

— Przyszliśmy tu dzisiaj wieczorem i znaleźliśmy naszego syna pod silnym wpływem środków uspokajających, i katalitycznym działaniem nastroju muzyki przepisanej dla tej rozpustnej zuchwałej pannicy…

— Nie jestem rozpustna! — zawołała Gloria. — Jeszcze nie wyszłam za tą waszą zimną kupę słoniny!

Ross rozłożył ręce w błagalnym geście, tak jakby prosząc jakichś bogów o powrót zdrowego rozsądku.

— Przestańcie! — zawołał. — Przestańcie!

Zwrócił się do pani Hanford, kręcąc głową.

— Bardzo mi przykro. Pani oburzenie faktem, że za tą aferę odpowiedzialna jest pani córka, w żaden sposób tego nie zmienia.

— Ale, to on…

— Proszę, pani Hanford. Te zaręczyny nie są kwestią osobistego wyboru obojga uczestników związku. One poważnie angażują społeczeństwo. Ponadto, jeśli chodzi o Departament Spokoju Domowego, to pobudliwa, uparta, niezdyscyplinowana i działająca z premedytacją osobowość, jest niebezpieczna dla stabilności społecznej. Ludzie spokojni i łagodni, nie popełniają aktów przemocy. Naprawdę, pani Hanford, nie zebraliśmy się tutaj w sprawie tego spokojnego, flegmatycznego osobnika, jakim jest Bertram Harrison. My, genetycy mamy twardy orzech do zgryzienia, aby znaleźć jakąś użyteczną niszę dla rogatych dusz, jak pani córka Gloria.

Gloria Hanford powiedziała coś pod nosem. Ross popatrzył na nią podejrzliwym wzrokiem i zażądał, żeby powtórzyła.

— Każdy ma wolną wolę — odcięła się.

Skinął powoli głową.

— Tak, to powiedzenie chwalebnie wskazuje, że każdy powinien mieć swobodny wybór, na ile pozwalają to okoliczności. Ale może ono również zostać użyte do opisu sytuacji, kiedy czyjś ślepy upór nie pozwala mu zrobić czegoś, co byłoby dla niego naprawdę dobre.

— A ja mówię, że dosyć już tych nonsensów! — warknął pan Harrison. — Kończmy tę całą dyskusję!

— Jedną chwileczkę — zauważył Specjalista Ross. — Nie ma pan żadnych podstaw prawnych. Panna Hanford jest zarejestrowaną przyszłą żoną Bertrama Harrisona. Zgodnie z prawem wszelkie problemy między nimi, są ściśle sprawą ustawodawstwa cywilnego. Otwarcie mówiąc, proszę pana, tylko strona która doznała szkód może złożyć skargę, a po jej złożeniu, to powód musi dowieść, że doznał szkód w wyniku celowego działania oskarżonego.

— Specjalisto Ross, pan i pański Departament Spokoju Domowego, może znacie się na tym jak utrzymać spokój i stabilność struktury społecznej, ale nie wiecie wiele o prawie — powiedział pan Harrison powoli, uważnie dobierając słowa. — Wystarczy tylko cofnąć się trochę w przeszłość, sięgając do podstaw prawa powszechnego, aby znaleźć dosyć precyzyjną dyskusję tezy o przechowywaniu atrakcyjnych rzeczy o szkodliwym charakterze. Posiadacz rzeczy atrakcyjnej dla innych, która może wyrządzić im szkodę ponosi odpowiedzialność w stosunku innych obywateli, którzy sięgnęli po nią w dobrej wierze.

— Co pan przez to rozumie?

— Rozumiem przez to — wyjaśnił pan Harrison, — że panna Hanford w tym mieszkaniu przed-małżeńskim, przechowywała szereg dosyć atrakcyjnych rzeczy, które niosły ze sobą zagrożenie. Pigułki uspokajające. Muzyka łagodząca nastrój. Osoba o spokojnym charakterze mogła uznać je za bardzo atrakcyjne. A więc to jej obowiązkiem było chronić przed nimi drugą stronę. A ponadto – kiedy Bertram przejdzie odpowiednią kurację i będzie w stanie zeznawać – myślę, że dowiemy się, że panna Hanford nie tylko zaniedbała ochrony Bertrama, ale tak

naprawdę zachęcała go, aby sięgnął po jej pigułki i spał w jej sypialni poddając się uspokajającemu wpływowi przepisanej dla niej nastrojowej muzyki.

Pan Hanford odciął się ostrym tonem:

— Jeśli z tym atrakcyjnym zagrożeniem jest tak jak pan mówi, Harrison, to czemu byśmy nie mieli oskarżyć Bertrama o to, że niewiele zrobił, aby chronić Glorię przed swoją własną terapią?

Ross uniósł rękę.

— Proszę pozwolić — powiedział, — że jeszcze raz powtórzę, iż to nadpobudliwe, nadaktywne osobowości tworzą problemy społeczne. Bertram Harrison zapadł w na wpół kataleptyczny stan wskutek podstępów Glorii Hanford, i trudno byłoby od niego oczekiwać, aby wyrwał się z niego w nagłym wybuchu energii.

— A więc, niezależnie od tego co zrobiłam, to ja jestem winna? — spytała dziewczyna.

— Zupełnie niezależnie — potwierdził Ross. — To pani bezpośrednio odpowiadała – był to pani obowiązek – aby zrobić wszystko co się da, dla utworzenia stabilnej jednostki rodzinnej z Bertramem Harrisonem…

— Przepraszam, Specjalisto Ross — zimno oświadczył pan Harrison. — Pan mnie nie słuchał. Pańska koncepcja, że cała ta sprawa jest kwestią dyskusji na bazie kodeksu cywilnego między parą zaręczonych, jest nieprawdziwa. Twierdzi pan, że nie złamano żadnego prawa. Myli się pan. Mam zamiar natychmiast złożyć skargę, że panna Gloria Hanford celowo skłoniła mojego syna aby skorzystał z jej terapii. To jej środki wprowadziły go w stan umysłu, który pozwolił jej na wypuszczanie się na randki z innym mężczyzną.

— Jeszcze nie jestem żoną Berty’ego! — ostro krzyknęła Gloria. — Ciągle mam prawo chodzić na randki!

— Och — warknął z gniewem pan Harrison, — zamknij się, albo złożę skargę, że zleciłaś przeprowadzenie terapii medycznej bez licencji! O ile chodzi o rodzinę Harrisonów, te zaręczyny zostaną natychmiast zakończone! Chodź! — powiedział do żony. Wstała, żeby wyjść razem z nim.

Gloria odsunęła się nieco, ale zatrzymała się, aby zapytać:

— Nie macie zamiaru zabrać ze sobą Berty’ego?

Pani Harrison zimno wyjaśniła:

— On już został zabrany do szpitala, na leczenie które wyprowadzi go z transu w jaki go pani wtrąciła. A teraz, panno Hanford, czy łaskawie odsunie się pani i pozwoli mi przejść?

Zaś pan Harrison na odchodne wypuścił ostatnią strzałę:

— Zaraz rano, złożę skargę – a jeśli mój syn będzie w stanie to zrobić, to przeprowadzimy sprawę ściśle na gruncie prawa i uzyskamy na niej także podpis Bertrama.

Zamknął za sobą z trzaskiem drzwi.

Pani Hanford zaszlochała:

— I co my teraz zrobimy?

Ross pokręcił głową.

— Przy tak kiepskiej kartotece, teraz jeszcze ten brak współpracy — stwierdził powoli, — zorganizowanie nowego związku będzie niemal niemożliwe. Ponadto jeśli Harrison zrealizuje swoje groźby…

Gloria wtrąciła szybko:

— Jeśli będzie chciał, namówi Bertiego do wszystkiego. Wszystkiego. Na przykład do podpisania najbardziej straszliwych oskarżeń, oraz do przekonania o całkowitej ich prawdziwości i słuszności.

Pan Hanford zaproponował:

— Jeśli to jest prawda, można go będzie także namówić do wycofania się z nich.

Ross ponownie pokręcił przecząco głową.

— To zakłada, że moglibyśmy zaaranżować dostęp do Bertrama, który nie zostałby zniweczony przez kolejne namowy jego rodziców. To się nie uda. Ten młody człowiek jest umysłowym kurkiem na wieży.

— A więc, na czym stoimy?

— Tak jak powiedziałem, powinniśmy przygotować się na najgorsze. Jeśli przypadek Glorii Hanford trafi przed oblicze sądu zostanie ona uznana za przestępczynię, albo za niepoprawnego wichrzyciela, w zależności od tego, czy jej czy wybryki zostaną uznane za ciężkie przestępstwa, czy za wykroczenia. — Ross zwrócił się do Glorii Hanford. — Ostrzegałem panią. Tam gdzie my, urzędnicy Departamentu Spokoju Domowego nie mamy władzy, aby zmusić panią do właściwego sposobu postępowania, stwierdzi pani z całą pewnością, że sąd taką władzę ma. Panno Hanford, to sąd zadecyduje o tym, jak bardzo jest pani niebezpieczna dla porządku społecznego. W zależności od tej decyzji, sąd dalej zdecyduje jakie działania należy podjąć, aby ten porządek społeczny przed panią ochronić.

Przerwał. Po jego oświadczeniu zapadła cisza. Odczekał kilka chwil, aby jego słowa zapadły w pamięć. Potem ruszył w stronę drzwi i dodał:

— Od tej chwili, przyszłość panny Glorii Hanford, nie leży już w moich rękach.

Pan Hanford zapytał:

— Specjalisto Ross, jak bardzo źle może być?

— Wiele zależy od tego, jak szybko Bertram Harrison zacznie reagować na zastosowane leczenie. Przy odrobinie szczęścia i dobrym adwokacie po państwa stronie, sprawa może nie zakończyć się totalną katastrofą. Jutro może się dowiemy.

IX

Młodszy astronauta Howard Ross poskarżył się żałośnie:

— Ale to przecież jest Biuro Sprawiedliwości. Zgodnie z Regulaminem powinniście mnie przynajmniej wysłuchać.

Siedzący za biurkiem oficer Służby Kosmicznej nosił trzy szerokie paski, oznaczające rangę komandora, zwieńczone przez liktorskie rózgi symbolizujące prawo. Był to komandor Hughes, szef Biura Sprawiedliwości Służby Kosmicznej. Uśmiechnął się do młodego astronauty i pokręcił głową:

— Postawiłby pan nas w najtrudniejszej możliwej sytuacji, gdybyśmy wysłuchali pańskiej skargi, jeśli sprawa nie została nam przekazana przez oficjalne kanały.

Z lekkim rozdrażnieniem Reed stwierdził:

— Proszę posłuchać, sir. Stałem się obiektem poważnej nadużycia. Dlaczego nie mogę przynajmniej opowiedzieć komuś o swoim problemie?

— To byłoby złamanie oficjalnej drogi służbowej. Tego po prostu się nie robi.

— Komandorze Hughes — oświadczył żarliwie młody astronauta, — pan nie służy sprawiedliwości. Pan szkodzi jej działaniu!

— Proszę posłuchać, młody człowieku…

— Komandorze Hughes nalega pan, żebym zameldował się u mojego przełożonego, aby przesłać oficjalnymi kanałami skargę przeciwko niemu. Po pierwsze, sir, chciałbym wskazać, że on mógłby odmówić spełnienia mojego żądania, chyba że byłby absolutnie pewien, iż moja skarga przeciwko niemu ma żałośnie słabe podstawy. Po drugie, jestem pewny, że takie żądanie spotkałoby się z natychmiastowym odwetem.

Komandor Hughes pokręcił przecząco głową.

— Regulamin stwierdza, że każde sensowne żądanie musi zostać przesłane dalej. I Regulamin zapewnia również, że nie wolno w takim przypadku stosować żadnych działań karnych.

Reed parsknął.

— Doskonale. A jeśli zostanę ukarany, to wtedy muszę znów zgłosić prośbę o dochodzenie w tej sprawie przez tego samego oficera?

— To poważne oskarżenie, młody człowieku.

— Mogę je udowodnić! Proszę mnie posłuchać, sir, już dosyć dawno temu przeprowadziłem pewne badania naukowe, i…

— Panie Reed, jest pan oficerem Biura Operacji?

— Tak, ale…

— A więc, nie jest pan wykształconym naukowcem?

— Nie dyskutujmy w tej chwili o tym wyścigu szczurów — stwierdził niecierpliwie młody astronauta. — Już to słyszałem. To dlatego tutaj jestem!

— Bardzo dobrze.

Howard Reed wziął głęboki oddech i zagłębił się w długie wyjaśnienia. Na koniec komandor Hughes skinął głową, z maską obojętności na twarzy.

— Jedną chwileczkę, proszę — Odwrócił się do znajdującej się za nim tablicy dyspozycyjnej i zaczął rozmawiać przez telefon. Nie miał on ekranu wizyjnego, ani wyjścia głośnomówiącego; tylko rozmówca wiedział co zostało przez niego przekazane, i przez kogo.

— No, zaraz zobaczymy — powiedział komandor, odkładając słuchawkę telefonu.

Ze sztucznością zatrzymanego na odtwarzaczu dramatu trivideo, stali i siedzieli dalej w milczeniu, podczas gdy kolejne minuty mijały, ciągnąc się niemiłosiernie. W końcu z jednej z szuflad biurka doleciał łagodny sygnał dzwonka. Komandor Hughes otworzył ją i wyciągnął kilka jardów papieru stereofaksowego.

— Dane o pańskiej służbie — wyjaśnił komandor, biorąc czytnik pryzmatyczny, i zaczynając od samej góry. — Jeszcze jedną chwilę.

Minęło kilka kolejnych minut.

— „Młodszy astronauta Howard Reed” — odczytał w końcu spokojnie komandor, — „ma wzorowy przebieg służby”. Tak brzmi opinia komandora Breckenridge’a, jeśli możemy wierzyć w to, co da się wyczytać w tych dokumentach. Och, być może uważa pana za nieco upartego i lekko konfliktowego, ale przyjmował że czynniki te równoważy pańska zdolność do głębokiej koncentracji.

— A co z moim przeniesieniem na Eden? A potem na Lalande 25372, na Flatbush? — dopytywał się Reed.

— „Powody przeniesienia” — przeczytał komandor Hughes w przebiegu służby. — „Młodszy astronauta Howard Reed jest ambitny i bardzo aktywny. Zgodnie z przedstawioną opinią komandora Breckenridge’a, po nabraniu odpowiednio bogatego doświadczenia służbowego, zostanie on doskonałym wyższym oficerem.” — Komandor uniósł wzrok i machnął dłonią w stronę długiego stereofaksu. Zalśniły w świetle jego wyszyte złotem rózgi liktorskie, ponad komandorskimi paskami. — W Regulaminie nie ma żadnych przepisów zabraniającym młodszemu oficerowi przejrzenia swego własnego przebiegu służby — powiedział komandor Hughes z lekkim uśmiechem. — Proszę, niech pan sam przeczyta te dokumenty, i zobaczy że nie ma tu ani jednego słowa, które potwierdzałoby pańskie sugestie. Pańska służba na Flatbush w układzie Lalande 25372, i wcześniejsza służba na Edenie w układzie Tau Ceti, były całkiem standardowymi etapami, przez które przechodzą obiecujący młodzi oficerowie, jako element właściwego pogłębiania ich doświadczenia.

— Inaczej mówiąc — gniewnie rzucił Reed, — fakt, że przeleciałem spory kawałek kosmosu w pojeździe napędzanym zgodnie z uwagami technicznymi, poczynionymi przeze mnie kilka lat temu, niczego nie dowodzi?

— Czy może pan udowodnić, że dokonał pan jakichkolwiek tego rodzaju usprawnień technicznych?

— Tak. Proszę skontaktować się z komandorem Briggsem, z Biura Naukowo-Badawczego. Jak również z komandorem Breckenridgem z Biura Operacji. Domagam się, aby zeznali oni pod przysięgą, czy przedstawiłem, im, czy nie, tego rodzaju sugestie. Mnie powiedziano, że moje pomysły są bezwartościowe.

— Innymi słowy, Biuro Naukowo-Badawcze orzekło, że to nie będzie działać?

— Ale panie komandorze! Przeleciałem statkiem kosmicznym całą trasę z…

Oficer z Biura Sprawiedliwości uniósł rękę.

— Proszę posłuchać! — zawołał gniewnie młody astronauta, — ja tylko chcę sprawiedliwości!

— I sprawiedliwość pan otrzyma! — odciął się komandor Hughes. — Po pierwsze, panie Reed, proszę mi powiedzieć, kto panu pozwolił na opuszczenie pańskiego posterunku na Flatbush, tak by mógł pan przybyć do kwatery głównej i złożyć swoją skargę? Czy ta podróż w ogóle była przez kogoś autoryzowana?

— No cóż, sir – stacja detektorów i radiolatarnia są w pełni zautomatyzowane i…

— A więc, mówiąc brutalnie, oddalił się pan stamtąd bez pozwolenia?

— No cóż, sir…

— Młodszy astronauto, Howardzie Reed, proszę się uważać za aresztowanego. Nie mamy innego wyjścia, jak przekazać pana w ręce Policji Bezpieczeństwa Kosmicznego. Proszę pozostać na swoim miejscu!

Jak u tonącego, w jednym mgnieniu oka przed oczyma młodszego astronauty Howarda Reeda, przewinęła się cała jego przeszłość. W drugim mgnieniu zrozumiał swoją sytuację w teraźniejszości. Nie wyglądała ona dla niego specjalnie dobrze.

Po obejrzeniu przeszłości i odrzuceniu teraźniejszości, przeanalizował swoją najbardziej prawdopodobną przyszłość, i doszedł do niemal oczywistej konkluzji, że nie pozostało mu jej już specjalnie zbyt wiele. Nigdy nie słyszał o powiedzeniu Napoleona, że Bóg jest po tej stronie, która posada więcej dział, ale na swój własny sposób, młodszy astronauta Howard Reed doszedł do analogicznego wniosku. Sprawiedliwość była po stronie wyższej rangi. Z goryczą zorientował się, że nagroda za techniczne usprawnienia o wielkiej wartości, była rzeczą, która nie była dla niego istotnym problemem – dopóki nie próbował zgłosić do niej roszczeń.

Szybko powrócił do swej groźnej teraźniejszości. Komandor Higgins mówił coś szybko do swojego potajemnego telefonu.

Jednym szybkim ruchem, młody astronauta przechylił się przez biurko i wyrwał słuchawkę z rąk starszego oficera. Pociągnął za nią, aż przewód łączący mocno się naprężył, a potem szarpnął, wyrywając kabel z gniazdka. Obcesowo wrzucił urządzenie telefoniczne do pustego kosza na śmieci komandora.

Następnie, przy wtórze dzwonków i buczków, których dźwięk wypełnił korytarze, młodszy astronauta Howard Reed w pełnym biegu opuścił budynek administracji Biura Sprawiedliwości. Na zewnątrz, na ulicy, przywitało go wycie syreny narastające od gardłowego basu do rozdzierającego uszy skowytu.

X

Gloria Hanford obudziła się, tak jak zawsze, od razu w pełni świadoma, jakby była małym zwierzątkiem, które w każdej chwili musi być w stanie zerwać się ze stanu drzemki do ucieczki. Do telefonu, który ją obudził, sięgnęła nie ospale i sennie, lecz czujnym i celowym gestem ręki. Jednym, zręcznym ruchem kciuka i palca wskazującego przerzuciła przełącznik akceptacji połączenia do góry i wcisnęła przycisk wyłączający podgląd vidfonu. Była to kwestia próżności. Gloria uważała niewyszorowane zęby, nieuczesane włosy i nieumytą twarz za nieatrakcyjne i nie do przyjęcia.

— Gloria Hanford, słucham. Proszę mówić.

— Tu Specjalista Ross. Panno Hanford, powinna pani wiedzieć, tak by była pani przygotowana. Bertram Harrison nie zareagował jeszcze na terapię korekcyjną.

— Nie… zareagował… jeszcze… — powtórzyła powoli jego słowa. — Panie Ross, jak źle to wygląda?

— To dosyć poważna sprawa. Możliwe, że nastąpiły zmiany w mózgu.

— Chce pan powiedzieć, że Bertram mógł nawet przejść ze złego stanu, do jeszcze gorszego?

— Panno Hanford, kiedy pani przestanie traktować tę sprawę tak, jakby była to jakaś komedia? Być może będzie pani musiała bronić się przed zarzutem zbrodniczego zaniedbania. Zanim cała sprawa się zakończy, możemy mieć już nawet do czynienia z oskarżeniem o zabójstwo.

— Zabójstwo? Przecież on żyje!

— Zabójstwo piątego stopnia — oznajmił Specjalista Ross. — Obejmuje ono proces spowodowania w jakiś sposób utraty lub uszkodzenia osobowości albo zdolności intelektualnych. Mówiąc potocznie, pranie mózgu.

— A więc?

— A więc, gdybym był na pani miejscu, ubrałbym się i przygotował na przybycie władz. Harrison ostatniej nocy wymusił specjalne posiedzenie sądu i doprowadził do uznania Bertrama za niepełnosprawnego i niezdolnego do komunikacji. Ponieważ państwa narzeczeństwo zostało formalnie rozwiązane, oddaje to dobro Bertrama w ręce najbliżej spokrewnionej osoby. Stary Harrison przygotowany jest do oskarżenia pani na pełną skalę. Złożył nawet petycję o prawo do podjęcia działań przeciwko Departamentowi Spokoju Domowego za, jak to określił, „niekompetentne decyzje”. A więc, jak pani widzi, wygląda to źle.

— Może należałoby się trochę zastanowić i wprowadzić jakieś prawa, chroniące nas, osoby aktywne, przed ciamajdami i tępakami! — zaprotestowała Gloria. — No dobrze, Specjalisto Ross. Podejmę odpowiednie kroki!

W wirze błyskawicznych przemyślanych ruchów, Gloria Hanford ubrała się, spakowała i wyszła z mieszkania.

Przedstawiciele władz, którzy po nią przyszli, nie mieli odpowiedniego doświadczenia w postępowaniu z osobami hipertonicznymi, nadaktywnymi, szybko podejmującymi decyzje i antyspołecznymi. Spodziewali się, że zastaną na miejscu rozkojarzoną, na wpół rozespaną dziewczynę, niezdolną do zajmowania się myśleniem i zakładaniem sukienki, w tym samym czasie. Nie skojarzyliby swoich wyobrażeń z zadbaną, dziarską, ładnie i kompletnie ubraną, młodą damą, którą minęli na schodach, nawet gdyby ich myśli nie zajmowały standardowe, zgodne z prawem zamki, w drzwiach wszystkich mieszkań. W przypadku gdy zasuwa była zamknięta poprzez obrót rygla od wewnątrz, w znajdujących się w nich wgłębieniach, widoczna była niewielka flaga.

Jej brak oznaczał, że w środku nie ma nikogo.

Szef grupy natychmiast przepuścił swoje wyobrażenia przez schemat mentalnego fotomontażu, który rozpoczął się od oryginalnego obrazu na wpół obudzonej młodej dziewczyny, odgarniającej pukle włosów z zaspanych oczu, przechodząc przez bardzo skrótową wersję procesu ubierania się kobiety, i doszedł do wersji końcowej odpowiadającej zadbanej i uderzająco ładnej osobie, którą minęli na klatce schodowej. Istotny element: Jako dodatek, ta wystrzałowa babka, w jednej z dłoni, okrytych białą, typową dla osoby wybierającej się w drogę rękawiczką, niosła niewielką torbę podróżną.

Kiedy już się ją trochę popchnęło, jego pamięć była całkiem dobra.

Wyciągnął swój komunikator, podczas gdy jego ludzie ciągle jeszcze upewniali się do bólu, że niewielka flaga na zamku, oznaczała dokładnie to, co powinna. Do czasu, zanim się przekonali, że mieszkanie było naprawdę puste, a zamek zamknięty został od zewnątrz, on bez owijania w bawełnę zameldował o swoim niepowodzeniu, kończąc bardzo dokładnym opisem zbiegłej Glorii Hanford.

XI

Przeciętny obywatel, postawiony przed imponującym uniformem, wpada w jedną z dwu bardzo różniących się między sobą kategorii. Jedna z powyższych kategorii obejmuje tych spośród nas, którzy dadzą się zasugerować, z wyglądu bardzo wysokiej randze, noszącej go osoby.

Dzięki temu, po prostu rzucając ostro „sprawy służbowe" kierowcy taksówki powietrznej, a jednocześnie migając mu przed oczyma swoją urzędową kartą identyfikacyjną, w eleganckiej skórzanej okładce, młodszemu astronaucie Howardowi Reedowi udało się przejąć od niego taksówkę.

Odleciał, pozostawiając kierowcę w obłokach marzeń o zarobionych stawkach za kilometraż od Służby Kosmicznej, podczas gdy on będzie sobie wygodnie siedział, odprężając się w pobliskim pubie. Chroniony przed wścibskim okiem postronnych przez niczym nie wyróżniającą się taksówkę, młody astronauta zaczął krążyć na środkowym poziomie

Starożytnej Piątej Alei, lecąc pełne osiemnaście cali poniżej nakazanej przez prawo wysokości lotu dla krążących w oczekiwaniu na pasażera taksówek powietrznych.

Włączył swój kieszonkowy komunikator, aby nasłuchiwać szczegółowych informacji o organizowanym za nim pościgu.

Nad jego głową i wszędzie wokół niego, nawet w leżących w dole tunelach metra, zbierały się siły potężnej i sprawnej machiny Wojskowej Służby Kosmicznej. Organizacja ta miała wolę i siły ludzkie niezbędne do przeczesania tego dwudziestomilionowego miasta, niemalże w dosłownym sensie, sprawdzając człowieka po człowieku, jeśli zajdzie taka potrzeba, aby znaleźć chłopaka w mundurze młodszego astronauty. Mógł lecieć jakimś pojazdem wojskowym, ale bardziej prawdopodobne było, że znajduje się w którymś z wielu pojazdów publicznych lub na jednym z transporterów publicznych, utrzymywanych przez miasto do celów transportu zbiorowego. Istniało również dosyć duże prawdopodobieństwo, że młodszy astronauta Howard Reed porusza się pieszo, po którymś ze statycznych chodników, albo jedzie tramwajem.

I tak, odliczając w myśli każdą chwilę czasu i uważnie zapamiętując położenie ewentualnych punktów kontrolnych, młody astronauta stworzył sobie w głowie mapę miasta i znajdujących się w nim niebezpiecznych miejsc. Miał zamiar być dokładnie tam, gdzie nie było ściągających, chyba że najprostsze prawa logiki przestały działać.

Siedział w fotelu kierowcy taksówki powietrznej, zupełnie niewidoczny dla nikogo z zewnątrz. Teraz jednak, jeśli miał zabrać taksówkę z poziomu krążenia, potrzebował dodatkowych rzeczy. Miał czas. Dopóki wojsko będzie szukać wojskowego, w wojskowym stylu i wojskowymi sposobami, był tak bezpieczny, jakby taksówka którą kierował, była faktycznie jego własnością.

Cywilna policja była bliższa sukcesu w realizacji swojego zadania.

Wezwani przez dowodzącego zespołem aresztującym, który przybył do mieszkania Glorii Hanford zaledwie o minuty za późno, pupile prawa i porządku zbiegali się ze wszystkich stron, ze swą zwykłą cywilną sprawnością. Logistycznie był to prosty problem zająca i psów myśliwskich. Zając nie mógł wygrać. Była to kwestia tylko jednego pytania: Który z psów to zrobi?

Na pieszo i jetkopterami, otoczyli cały obszar w trzech wymiarach, zamykając go w środku kordonu. Korzystając z zebranych danych i przestudiowanych informacji, wznieśli niewidoczne bariery w każdym odsłoniętym punkcie wzdłuż najbardziej prawdopodobnych szlaków poruszania się swej ofiary, od ulicy przy której znajdował się jej apartament, do boksu garażowego w Monticello. Ponadto, jako ostateczny środek zabezpieczający, zainstalowali trzech ludzi w samym skuterze powietrznym Glorii Hanford.

Dzięki wykonaniu jakiegoś niespodziewanego ruchu człowiek przez pewien czas może wymykać się gliniarzom. Gloria, na ulicy, przed budynkiem w którym mieściło się jej mieszkanie, niemalże popadła w rozpacz, kiedy zobaczyła, że w zasięgu wezwania, w powietrzu nie ma żadnej taksówki. Odebrała to prawie jako osobisty afront.

Nie miała jednak czasu na tupanie sandałkami o twarde płyty chodnika, czy też pisanie listów do Komisarza Transportu Publicznego.

Skręciła i znalazła się w wejściu do tramwaju, zmierzającego na północ po Waterfront Avenue. Jej żeton ledwie zdążył zniknąć w szczelinie wrzutowej, kiedy mobilne oddziały policji zleciały się ze wszystkich stron, aby wylądować w miejscu, które właśnie opuściła. Pierwsi z policjantów dostrzegli jeszcze jej zadbaną postać znikającą w oddali, niknącą pośród miriadów niewinnych przechodniów, których jedynym grzechem było korzystanie z tego samego, zmierzającego na północ tramwaju.

Pościg zaczął zmieniać kształt kordonu poszukiwań z półkuli do cylindra, którego oś odpowiadała północnej linii tramwajowej.

I znowu wykorzystała przewagę znajomości z góry swoich decyzji, podczas gdy pościg musiał przewidywać jej plany poprzez analizę wcześniejszych działań, dokonując potem ich ekstrapolacji. Gloria Hanford wysiadła z tramwaju przy Pięćdziesiątej Trzeciej i szybko przeszła trzy długie przecznice do LaGuardia Szóstej, stając tam wobec grupy krzepkich policjantów, i zatrzymując się chwilę, aby pomyśleć. Jeden z gliniarzy włożył do ust gwizdek Galtona i wysłał sygnał supersoniczny, który odebrał każdy policyjny detektor w obrębie jednej czwartej mili. Słyszalnym efektem było wycie syreny. Niesłyszalnie i niewidocznie, pajęczyna sił porządku zaczęła się zamykać.

I jeszcze raz Gloria weszła do wagonu tramwajowego, w Crosstown. Przejechała jeszcze jedną przecznicę, do Starożytnej Piątej i wysiadła. Szybkim ruchem ręki, a przy tym w zdumiewający sposób, jak na kobietę, Gloria Hanford wetknęła dwa palce do ust i wydała ostry, przeszywający świst, który zmusił każdego kierowcę taksówki powietrznej, znajdującej się bliżej niż pół mili od niej, do przybycia w miejsce „wezwania przez klienta”.

Trafiła przy tym w dziesiątkę.

Jedną z rzeczy, jaka była potrzebna młodszemu astronaucie Howardowi Reedowi, był pasażer, a najlepiej pasażerka, w której można by rozpoznać kobietę, nawet z odległości stu jardów, przez gęstą mgłę pędzoną w oślepiających porywach wichru. Stara, młoda, piękna, brzydka, nie miało to znaczenia, dopóki była to niewątpliwie kobieta. Wojsko nie szukało przecież taksówki z kobietą jako pasażerem.

Potrzebował pasażera, ponieważ dopóki nie będzie mógł złamać taksometru – mając klienta w przedziale pasażerskim – był zmuszony przez prawo do krążenia na niskiej wysokości. Krążenie donikąd go nie doprowadzi. Potrzebował przepustki, pozwalającej mu na przedostanie się do wyższych poziomów ruchu drogowego.

Świst przeszył mu uszy; rozejrzał się; a potem z wprawą pilota kosmicznego, młodszy astronauta Howard Reed, wywinął szaleńczą spiralę podejścia do lądowania, która rozegnała z pół tuzina innych krążących taksówkarzy. Znalazł się na ziemi, na wysokości zero, z szybkością zero, w

odległości od celu zero, a potem otworzył drzwi taksówki tak blisko, że Gloria Hanford nie musiała zrobić nawet kroku, żeby wejść do środka.

Wystartował z pośpiechem, który rzucił jego pasażerkę w głęboki fotel, i zatrzasnął drzwi wejściowe bez udziału człowieka. Potem pomknął w górę tak ostro, że skrócił czas życia silnika o przynajmniej dwadzieścia tysięcy mil lotu. Wyrównał na tysiącu stopach nad Starożytną Piątą Aleją, na poziomie ruchu drogowego o najwyższej szybkości, i ustawił autopilota na port kosmiczny.

Nie przejmował się tym, że jego pasażerka nie miała nawet czasu podać mu miejsca, do którego chciała się dostać. Przecież młodszy astronauta Howard Reed nie był prawdziwym taksówkarzem. Nie obchodziło go to.

Gloria Hanford odbiła się od miękkich poduszek fotela pasażerskiego w taksówce powietrznej i zaczęła się szarpać, żeby zająć miejsce pozwalające jej na dobry widok przez szerokie, tylne okno. Kierowca pędził szaleńczo po spirali do góry, tak że robiło jej się niedobrze, ale z góry było wyraźnie widać, że pod nimi miało miejsce jakieś ogromne poruszenie. Ludzie, samochody naziemne, oraz jetkoptery zmierzały ze wszystkich stron w miejsce, które dopiero co opuścili.

Glorii Hanford wcale nie przeszkadzało, że kierowca nie czekał na instrukcje dotyczące punktu do którego chciałaby lecieć. Była nawet szczęśliwa, że tego nie zrobił. Jej miejscem docelowym była jak najszybsza ucieczka, w jakimkolwiek z kierunków wypełniających otaczającą ją sferę przestrzeni; jej osoba była punktem odwrotnym miejsca docelowego, które można by poprawnie określić słowem „dokądkolwiek”.

Za ich plecami miasto wybuchło krzyżującymi się naprowadzanymi przez radio snopami reflektorów, chwytających i identyfikujących samochód powietrzny za samochodem powietrznym. W górze, ponad poziomami komunikacyjnymi miasta pojawiły się jetkoptery, eskadra skoczków i kilka statków uzbrojonych w działka; łodzie załogowe; nawet iskierki mobilnych baz komunikacyjnych. Nieco z boku i niemal za nimi rozbłysła grupa rac oświetleniowych, powoli spadających i rozświetlających okolicę wspaniałym bogactwem kolorów. Z drugiej strony przemknęła ostrzegawcza seria pocisków smugowych.

Howard dodał gazu.

Gloria nie protestowała; było to niemal idealne porozumienie.

Przemknęli przez Jersey Flats. Ruszył taksówką w dół, płasko podchodząc do lądowania. Dotknęła ziemi, podskoczyła i zaczęła zwalniać, z wciśniętymi wszystkimi hamulcami podwozia. Zatrzymała się kilka jardów od statku kosmicznego.

Dopiero wtedy młody kosmonauta znalazł chwilę czasu, żeby odezwać się do swojej pasażerki:

— Przepraszam, ale nie miałem wyjścia. No to na razie!

Wyskoczył z taksówki, błyskawicznie przebiegł między pojazdami, wspiął się pędem po drabince, rzucił się do śluzy powietrznej, trzasnął w przycisk „Zamykanie”, kiedy przechodził przez wewnętrzny właz – a potem, nie czekając na kontrolę przedstartową, młodszy astronauta Howard Reed zrezygnował ze Służby Kosmicznej, przerzucając stery w położenie alarmowe i ustawiając nieautoryzowany program lotu, który wyrzucił ich w górę, poza ziemską atmosferę z tak dużą szybkością, że niemal go rozpłaszczyło.

Kiedy już był wolny w kosmosie, odprężył się, siedząc w fotelu pilota, obrócił go do tyłu… i aż podskoczył, wybałuszając oczy na swoją pasażerkę.

Gloria Hanford ciągle śliczna i zadbana w swoim białym kostiumie, z gładkiego, lekko połyskującego syntetyku, z niewielką torbą podróżną w dłoni, okrytej białą rękawiczką, typową dla osoby wybierającej się w drogę, siedziała na zapasowym fotelu.

Powiedziała:

— Ja również bardzo za to przepraszam, ale tak się przydarzyło, że też nie miałam wyjścia! Dokąd teraz lecimy, pilocie?

Zmierzył ją wzrokiem.

— A gdzie byś chciała polecieć?

Gloria zachichotała gardłowym głosem.

— Jak najdalej — stwierdziła.

— Czy potrafisz gotować? — zapytał nagle.

— Tak… dlaczego pytasz?

— To może poszłabyś do kambuza i przygotowała coś na ząb — polecił. — Ja muszę mieć oko na to pudło, zanim nie zwiejemy dostatecznie daleko. Co robić dalej, możemy zdecydować potem, kiedy będziemy mieli trochę czasu żeby pomyśleć.

Popatrzyła na niego dziwnie. Jej własne zachowanie bardzo ją zastanawiało. Po raz pierwszy w życiu ktoś jej tak rozkazywał, a ona nie przyjmowała tego z oburzeniem. Ale, oczywiście, zaproponowany przez niego kierunek działania, był bardzo sensowny.

Przyglądał się jej jak wstaje – i stwierdził, że jest bardzo ładna.

I tak było. Gloria Hanford była niezmiernie atrakcyjną osobą, na swój sposób. Efekt ten wzmocniony został parę milionów razy przez okres przymusowej izolacji młodego pilota na Edenie, i później na Flatbush, powodując że wydała mu się spełnieniem marzeń. Oba te miejsca były w stanie uczynić z Gorgony Meduzy Miss Universum Wszechczasów, ale Gloria Hanford nie potrzebowała żadnej taryfy ulgowej.

Dzięki jakiejś dziwnej chemii albo niematerialnemu promieniowaniu, które nie wymagały katalizatora, nie musiały padać między nimi żadne pytania.

Och, musieli się dużo o sobie nawzajem dowiedzieć, ale mieli na to naprawdę mnóstwo czasu.

Na to, podobnie jak i na inne rzeczy…

XII

W klubie oficerskim, na Ziemi, ktoś zapytał:

— Jakie są ostatnie wieści?

Komandor Breckenridge z Biura Operacji odparł:

— Niedawno wykryła ich stacja Ostatni Dech w układzie Ross 780, i mogę się założyć, że ich już nie dopadną.

Komandor Hughes z Biura Sprawiedliwości zauważył:

— Dosyć szybko na to wpadli, co nie?

Specjalista Ross z Departamentu Spokoju Domowego wskazał ręką na swój mikroskop porównawczy i leżące koło niego karty z danymi.

— Trudno byłoby znaleźć dwójkę ludzi lepiej pasujących do siebie. — Spojrzał na zegarek i lekko się uśmiechnął. — Powiedziałbym, że do tej chwili oboje już kompletnie zapomnieli, że jeszcze niedawno w ogóle się nie znali.

Komandor Briggs z Biura Naukowo-Badawczego napełnił kieliszki najlepszym niesyntetycznym szampanem, jaki dało się znaleźć w piwniczce Klubu Oficerskiego. Uniósł kieliszek wysoko do góry i oznajmił:

— Wznoszę toast za parę młodą i ostateczną kolonizację Galaktyki – dzięki naszemu fortelowi!

Ale Ross przytrzymał go za rękę. Kręcąc przecząco głową uniósł swój własny kielich:

— Przepraszam Briggs. Ale tym razem wzniesiemy toast za tę starą, twardogłową, reakcyjną, opętaną żądzą władzy gwardię, która zwija się jak diabli, żeby skojarzyć każdą zasługującą na to młodą parę, a potem zmusza ją do znalezienia sobie własnego domu – na jakiejś innej planecie.

— Panowie. Za Wichrzycieli!

— Za nas samych!

KONIEC